CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 13 Czerwca 1937 R. NR. 23-24

Drogosław

Pojęcie narodu a treść art. 9 konstytucji

Problem stosunku Narodu i Państwa stanowi jedno z podstawowych zagadnień teoretycznych i praktycznych współczesnej Polski. Jako dalszy ciąg prowadzonej na ten temat dyskusji, rozpoczynamy w bieżącym numerze druk studium jednego z czołowych w Polsce teoretyków omawianego zagadnienia. Całość artykułu zawarta będzie w trzech kolejnych numerach naszego pisma.

REDAKCJA

I.

Znajdujemy się w okresie bardzo żywego rozbujania prądów nacjonalistycznych, ale nie w okresie gruntownego opracowywania i definiowania pojęcia narodu, co powinnoby, jak się zdaje, stanowić konieczne podłoże nacjonalizmu. Zwłaszcza ci, którzy przeciwstawiają interes narodu interesowi państwa, którzy traktują naród i państwo jako fenomeny socjalne różnorodzajowe, powinniby oba te fenomeny ściśle określić. Co do pojęcia państwa, to od czasów greckiej starożytności myśl ludzka wciąż pracowała nad ujęciem tego zjawiska i należytym jego wytłumaczeniem, tak że w tej dziedzinie mało chyba jest do zrobienia. Odmiennie jednak ma się rzecz z pojęciem narodu, które dotąd dalekie jest od ustalenia, a nawet gruntownego wyjaśnienia. W skład pojęcia narodu, jeśli je brać w oderwaniu od państwa, wchodzi cały szereg czynników, jako to: terytorium, rasa, język, wyznanie religijne, obyczaje i t. d. Jednak żaden z tych czynników nie określa narodu, a brak ich wszystkich w danej społeczności nie sprawia jeszcze, aby nie była ona narodem.

Obecnie, za przykładem Niemców, nacjonaliści wysuwają czynnik rasy, jako decydujący o uznaniu danej społeczności za naród. Jednak pobieżna nawet obserwacja wskazuje, że rasa takiego kryterium nie stanowi. Narody, u których można stwierdzić jednolitość rasową, nie są bynajmniej regułą, a te które właściwie stworzyły współczesną cywilizację europejską składają się z mieszańców. Takimi są na zachodzie Europy wszystkie ludy romańskie, więc Francuzi, Włosi, Hiszpanie, w większym jeszcze stopniu Anglicy, a w największym Amerykanie Stanów Zjednoczonych. A przecież o zaprzeczeniu któremukolwiek z tych ludów charakteru narodu mówić nie można i nikt też o tym nie mówi. Mniej może różnorasowymi są narody zamieszkujące Europę środkową i wschodnią, a więc Niemcy i Słowianie, jednakowoż i tutaj do elementu rasowego, stanowiącego główny trzon danego narodu, domieszało się bardzo wiele pierwiastków obcych. Wśród Polaków mamy znaczny procent ludzi pochodzenia niemieckiego, litewskiego, ruskiego i sporo też krwi żydowskiej, nawet z czasów dawnych.

Nie jest także wykładnikiem narodu wyznanie religijne. Mniejsza o to, że narody jako całości wyznanie zmieniały, np. cały szereg ludów europejskich w wieku XVI odstąpił od kościoła katolickiego i przyjął wyznanie protestanckie. Czyż np. Szwedzi po reformacji są innym narodem, aniżeli byli w czasach przedreformacyjnych? Ważniejszym jest, że równocześnie do jednego narodu należą wyznawcy różnych religii, a nawet takich narodów jest znaczna większość. Nie tylko Niemcy, składający się z wielkiej masy protestantów i katolików, Anglicy z kilku sekt, Amerykanie półn. z bardzo wielkiej ich ilości, ale i narody o zdecydowanej przeważnej większości jednowyznaniowej liczą wśród siebie mniejszości, należące do innych wyznań. Chociaż Polacy są narodem w masie swojej katolickim, to jednak liczą zwarte grupy wyznaniowe niekatolickie, przede wszystkim ewangelickie, którym największy ekskluzywista nacjonalistyczny miana Polaków z pewnością nie odmówi. Religia nie może być wykładnikiem odrębności narodowej także i z tego powodu, że obecnie mało już jest religii, do których należą tylko członkowie jednego narodu. Religie mają raczej charakter powszechności, a przede wszystkim taki charakter ma kościół rzymsko-katolicki, obejmujący wielką ilość narodów i liczący wyznawców wśród chyba wszystkich grup narodowych świata.

Powyżej zaznaczone dwa znamiona należą w historii nowożytnej do najmniej charakterystycznych cech narodu, występują natomiast na pierwszy plan, gdy idzie o narodowość żydowską. To jest istotnie społeczność zupełnie monolityczna rasowo i wyznaniowo, tak iż nie można sobie nawet wystawić żyda, który by nie należał do rasy semickiej i do wyznania mojżeszowego, jak i z drugiej strony nie ma poza żydowstwem wyznawców religii mojżeszowej. Pod tym względem stanowią też żydzi w rodzinie ludów zupełny wyjątek, a wyjątek ten obok braku własnego odrębnego terytorium i języka, braku wszechstronności zajęć, stanowi główną przyczynę wyjątkowego położenia żydów w świecie.

Odrębność językowa bardziej już jest bliska istoty narodu. Jest wiele narodów,

mających każdy swój własny odrębny język, tak iż wszyscy należący do tego narodu ludzie ten właśnie język mają za rodowity, a z drugiej strony, choć tego już tak stanowczo powiedzieć nie można, wszyscy używający tego języka do tego właśnie narodu się zaliczają. Jednakowoż są narody nie mające własnego odrębnego języka, mówiące różnymi językami, a jednak zwartą masę narodową stanowiące. Takimi są w Europie Szwajcarzy, Belgowie, choć u tych ostatnich kwalifikacja jednolitości narodu nie jest już tak bezsprzeczna. O obyczajach jako o czynniku cementującym naród we współczesnym świecie cywilizowanym na serio mówić nie można. Ogromnej wagi jest odrębność i zwartość terytorialna, ale i w tym względzie nie ma reguły absolutnej. Pomijając już żydów, jako lud bezterytorialny, wśród narodów obszarowo zwartych, są liczne okręgi o charakterze narodowo-mieszanym i to jest czynnik stanowiący może największą przeszkodę do idealnego uregulowania spraw narodowych w świecie.

Istotnym kluczem dla określenia pojęcia narodu jest jednak czynnik polityczny, wszystkie zaś inne, wymienione powyżej, mają raczej charakter posiłkowy, wpływający na większą lub mniejszą zwartość narodu. Według słów Stanisława Wyspiańskiego, wypowiedzianych w „Wyzwoleniu": „naród ma prawo być tylko jako państwo", a słowa te prowadzą do konkluzji, że istotnym wyrazem narodu jest państwo. Trzeba jednak wprowadzić tutaj poprawkę, dyktowaną przede wszystkim naszym polskim doświadczeniem historycznym. Przeżyliśmy jako Polacy przez czas kilku pokoleń stan bezpaństwowy, a raczej pozbawiony własnego państwa; nie posiadaliśmy go nawet w chwili, w której Wyspiański powyżej przytoczoną myśl swoją wypowiedział. Nie byliśmy odrębnym państwem, ale nigdy nie przestaliśmy być narodem państwowym, to znaczy, że żywą była zawsze w Polakach tradycja własnego państwa i—co o wiele ważniejsze—dążenie do jego przywrócenia. Ciągłe panowanie nad myślami naszymi i przodków naszych idei o przywróceniu niepodległej Ojczyzny, panowanie tak zupełne, że była to naczelna idea twórcza całej naszej literatury niezależnie od jej kierunków i całego ruchu kulturalnego i społecznego, już jest samo przez się dowodem, że Polacy nigdy nie przestali być narodem państwowym. Oczywiście większym jeszcze dowodem jest wcielanie idei w czyn, a to przez walkę zbrojną o odzyskanie Niepodległości lub walki tej przygotowywanie. Czcimy tych, którzy walkę rzeczoną podejmowali, chociaż tak wiele razy okazała się bezowocną i była najczęściej nawet beznadziejną, właśnie dla tego, że przez nią utrzymywaliśmy się na stanowisku narodu państwowego, stanowisku, które uprawniało nas do objęcia rzeczywistej władzy państwowej w kraju, gdy tylko stało się to możebne.

Naród jest zbiorowością polityczną, faktycznie istniejącą przez własne państwo, albo potencjalną przez dążenie do tegoż. Przyjęcie tej podwójnej możebności, a przyjęcie to wynika niespornie z faktów dziejowych, musi jednak wywoływać dwa różne ustosunkowania narodu do państwa, inne w razie posiadania własnego państwa, a inne w razie, gdy czynnik polityczny ujawnia się w dążeniu narodu ujarzmionego przez obce państwo do stworzenia własnego państwa. Wspólne obu ewentualnościom jest poczucie przynależności, świadomość politycznego zespolenia. Świadomość ta musi mieć charakter naczelny, to znaczy nadrzędny w stosunku do wszelkich innych świadomości zbiorowych, napotykanych w danej społeczności narodowej. Świadomość ta nie może pozostawać kategorią czysto logiczną, myślową, ale musi nabierać charakteru uczuciowego i to uczuciowego absolutu. Uczuciem tym jest patriotyzm, t. j. miłość do narodu, której podporządkowane być muszą wszelkie przywiązania do mniejszych zbiorowości, miłość idąca tak daleko, że skłania do złożenia narodowi ofiary z własnego życia. Ta najwyższa świadomość i ten absolut przywiązania mogą istnieć tylko w narodzie politycznym, w innych zaś zbiorowościach o charakterze etnicznym, językowym, kulturalnym, nie jest takie uczucie do pomyślenia. Natomiast w narodzie państwowym świadomość taka i uczucie takie jest nie tylko możebne, ale i konieczne. Pozbawiony takiego uczucia naród przestałby być państwowym, przestałby być narodem.

Te właściwości psychologiczne stanowią istotę każdego narodu, a im większe jest ich napięcie, tym naród jest żywotniejszy i przyszłość przed nim większa. Jak wyżej powiedziano, stanowią one cechę wspólną narodu politycznego, czy to posiadającego własne państwo, czy też zmierzającego do jego zdobycia. Ale stosunek do państwa faktycznie istniejącego musi być u obu kategorii narodów różny. Państwowość narodu pozbawionego własnego państwa jest ideą, natomiast państwowość narodu we własnym państwie jest już nie tylko ideą, ale przenikającym całe życie narodu faktem. U narodu dążącego dopiero do zdobycia państwa występuje okropna dwoistość, a raczej przeciwstawność, pomiędzy ideą o własnym państwie a konkretną rzeczywistością, w której naród podlega państwu obcemu i z konieczności wrogiemu, żyje w tym państwie, stanowi obiekt jego działalności, a często także zmuszony jest z państwem tym współdziałać, a w każdym razie we wszystkich przejawach życia publicznego z nim się liczyć. W tym stanie rzeczy w świadomości narodowej występuje to żywe, obce państwo, któremu naród podlega, jako coś absolutnie złego, coś co się znosi tylko z konieczności, tylko z musu. Państwo własne pozostaje zaś jedynie aspiracją, ideą, do której realizacji może być bardzo daleko. Wobec tego naród potencjonalnie polityczny, który nie przestaje być narodem żywym, a w braku własnego państwa kaleka, jest wyłącznym przedmiotem całkowitego oddania się obywateli, dla których państwo stanowi raczej zjawisko wrogie. Przez to wytwarza się dwoistość w samopoczuciu narodowym, ukochanie własnego bezpaństwowego narodu i wrogość wobec obcego państwa.

W państwie niepodległym zupełnie jest inaczej, nie ma obcego państwa, a więc i uczucia wrogości do niego, natomiast jest państwo własne, ucieleśniające naród i mające jako zadanie najwyższe podniesienie tego narodu. Nie ma więc miejsca na rozdwojenie i przeciwstawność uczuć, ale jest twór jednolity — naród uosobiony w państwie.

Odmienność stosunku do państwa jednostki należącej do narodu politycznego, ale ujarzmionego, a jednostki żyjącej we własnym państwie narodowym, ma treść nie tylko ideową ale i bardzo realną. Społeczeństwo pozbawione własnej państwowości w większości wypadków stanowi tylko obiekt działalności państwowej, której podlega, ale czynnego udziału w niej nie bierze. Z konieczności przestaje myśleć kategoriami państwowymi, obcą jest dla niego i wrogą cała dziedzina rządzenia, natomiast dąży do tego, aby jak najwięcej zjawisk życia społecznego wyzwalać z pod działania obcego państwa i starać się poddawać je wyłącznie pod kierunek narodu, w jego wolnych, społecznych organizacjach. To dążenie odnosić się może przede wszystkim do takich stron życia publicznego, które obchodzą się bez fizycznego przymusu. Najzdrowszą tendencją narodu polskiego w ostatnim przedwojennym jego okresie było właśnie takie dążenie. Jego wykładnik stanowiła organizacja szkolnictwa prywatnego w b. Królestwie, oparta pozytywnie na tworzeniu i prowadzeniu tego szkolnictwa, a negatywnie na bojkocie państwowej szkoły rosyjskiej. Do tej samej kategorii zjawisk należy organizacja życia gospodarczego przez spółdzielczość w b. zaborze pruskim. Naród pozbawiony siły wykonawczej dąży do takiego spotęgowania swojej opinii publicznej, iż z nakazami jej muszą się liczyć wszyscy, którzy nie chcą być wyłączeni ze społeczności narodowej. Ostatnim i najwyższym wyrazem takiego odrębnego organizowania życia publicznego w narodzie ujarzmionym jest tworzenie siły zbrojnej pod rządami obcego państwa, co oczywiście możebne i skuteczne jest tylko w przeddzień przełomu politycznego. Takim objawem był ruch strzelecki w Polsce w ostatnich latach przed wojną, a dowodem genialnej przenikliwości Józefa Piłsudskiego był fakt, że właśnie w tym czasie do organizacji polskiej siły zbrojnej przystąpił.

Naród odwracający się od państwa władczego, pracujący nad własną, niezależną od tego państwa organizacją, oczywiście skłonny jest nie tylko w danym państwie władczym widzieć wroga, ale wogóle i zasadniczo uważać państwo wszelkie jako twór mniej wartościowy.

W narodzie takim powstają też i znajdują uzasadnienię odpowiednie tezy naukowe np. o tym, że nie państwo, ale naród niezależnie od państwa jest przedmiotem gospodarstwa społecznego i wogóle teorie liberalne i indywidualistyczne skazujące państwo na rolę bierną, opartą na dewizie: „laissez faire, laissez passer". Tak jak doktryna socjalistyczna uważa państwo za narzędzie gwałtu ze strony panującej klasy społecznej, podobnie i w narodzie ujarzmionym uważa się państwo za narzędzie narodu władczego, zwrócone przeciwko narodom ujarzmionym. Nacjonalizm, w rozumieniu uznawania bezwzględnej wyższości narodu nad państwem, jest więc kategorią myślenia nieomal konieczną w narodzie ujarzmionym, pozbawionym własnego państwa.

Odzyskanie własnego państwa stanowi niezmierny przełom nie tylko w organizacji obiektywnej narodu i w jego bycie politycznym i społecznym, ale także wywoływać powinno radykalne przeobrażenie poglądów we wszelkich dziedzinach życia publicznego, przede wszystkim zaś w ujmowaniu stosunku narodu do państwa. Cel, do którego zmierzały pokolenia narodu w krwawym i ofiarnym jego trudzie, został wreszcie osiągnięty, uzyskano państwo własne; z tą chwilą całe bogactwo narodowego ukochania, tak długo tłumionego, powinnoby się zwrócić z największą siłą do państwa, uczynić zeń punkt centralny dążeń i ideałów, miłości i pracy narodu. Naturalną byłaby nawet pewna przesada w tym względzie. Jednakowoż nawyknienia myśli i uczuć, od pokoleń utrwalające się, stanowią siłę tak niespożytą, że bardzo trudno i bardzo powoli dają się przełamywać. W Polsce nawyknienia te są o wiele starsze od naszej niewoli, gdyż i w czasie dawnej Rzeczypospolitej naród szlachecki, jedyne naówczas środowisko nie tylko czynu ale i myśli publicznej, zajmował właściwie stanowisko w ogromnej swojej większości apaństwowe, uważał absolutum dominium, czyli silną władzę państwową, za zło i niebezpieczeństwo największe. W ostatnim okresie istnienia dawnej Rzeczypospolitej ogromna większość narodu szlacheckiego rozumiała pod nią właściwie nie państwo, ale ogół interesów tej warstwy, która się za naród uważała. W tym stanie rzeczy można powiedzieć, że przeszło od trzech wieków, poprzedzających odbudowanie państwa polskiego, myślący ogół polski zajmował i w idei i w konkretnej rzeczywistości stanowisko apaństwowe lub antypaństwowe. O ile chodzi o czas niewoli, to zwalczanie lub ignorowanie państwa najezdniczego stanowiło oczywiście najwyższą narodową cnotę, bez której zachowania nie bylibyśmy zdolni do odzyskania Niepodległości, a nawet jej warci. Ale ta najwyższa cnota narodowa z czasów niewoli, kontynuowana po odzyskaniu niepodległości, wywołuje wielką narodową szkodę. (d. n.)

Kongres Centralnego Związku Młodej Wsi

W dniach 19 i 20 czerwca b. r. Centralny Związek Młodej Wsi organizuje pierwszy Kongres, na którym będzie ogłoszona deklaracja ideowo-programowa i poświęcony zostanie sztandar. Kongres odbędzie się w Warszawie na polu Mokotowskim.

Protektorem Kongresu i ojcem chrzestnym sztandaru jest Marszałek Edward Śmigły Rydz.

Celem Kongresu jest zamanifestowanie łączności młodego pokolenia chłopskiego z Armią i Jej Naczelnym Wodzem oraz pokazanie dorobku kulturalnego, obywatelskiego, społecznego i organizacyjnego C. Z. M. W. Będzie to wielkie święto młodzieży chłopskiej zorganizowanej w Związku Młodej Wsi, który obecnie liczy 160 tys. członków zrzeszonych w 7 tys. Kół Młodzieży Wiejskiej.

*

W związku z Kongresem, Komitet Organizacyjny wydał specjalną odezwę, w której zwraca się do związkowców z gorącym apelem, aby na to wielkie święto Organizacji jak najliczniej przybyli zwartą i karną gromadą dla wykazania siły młodego pokolenia chłopskiego.

W odezwie tej między innymi czytamy:

„Tysiącami Kół usiał Ruch Młodowiejski Rzeczpospolitą Polską. Z naszej pospólnej woli, samorzutnie wyrósł on i już od lat przeszło 30-tu rozpala po wsiach tysiące ognisk, budzących młode pokolenie chłopskie do myślenia i działania, by przetworzył się człowiek, by wyprostował zgięty krzyż, w gromadzie się zjednoczył i pracował ku podniesieniu wsi i Polski.

Mamy za sobą tradycję walki i pracy! Z naszych szeregów wyszło wielu tych, co przelali krew serdeczną na polach walki o Niepodległość Rzeczypospolitej. Wychowaliśmy tysiące ofiarnych działaczy wiejskich, podejmujących w najtrudniejszych okolicznościach zdecydowaną walkę o potęgę i rozwój Polski, o honor i prawa chłopa polskiego dla ludzkiego bytu.

Przodujemy na wsi w wytrwałej, codziennej pracy na roli, gorliwie przygotowujemy się do spełniania obowiązków obywatelskich, prowadząc przysposobienie rolnicze, spółdzielcze i samorządowe, oraz wychowując się społecznie.

Dziś, kiedy za ścianami naszej Ojczyzny drży ziemia od marszu sposobionych do wojny narodów, a komunizm i inne wrogie siły za obce pieniądze usiłują rozkładać nasze Państwo od wewnątrz, kiedy Wódz Naczelny, Marszałek Edward Śmigły-Rydz, w poczuciu historycznej odpowiedzialności rzucił w Naród hasło wzmożenia obronności Państwa, chcemy wobec całego narodu zadokumentować, że Młoda Wieś jest uświadomiona narodowo, jest mocna i zwarta wewnętrznie, złączona duchowo z Armią i że w tym kierunku pójdzie dalej.

Dziś, kiedy siły wrogie rozwojowi wsi, zapatrzone we własne klasowe interesy, usiłują pomniejszyć rolę chłopa w Państwie, kiedy wielomilionowej rzeszy odmawia się prawa do ziemi, a z drugiej strony przez skartelizowanie przemysłu i utrzymanie wysokich cen hamuje się odpływ ludności ze wsi do miast, kiedy siły reakcyjne godzą w honor chłopa polskiego, wmawiając społeczeństwu, że oddanie chłopu ziemi — to wygłodzenie miast i armii, bo chłop nie potrafi ziemi uprawiać, winniśmy wobec całej Polski stwierdzić, że wieś z oburzeniem odrzuca te insynuacje, że nadaremno stawia się przeszkody na drodze wiodącej do rozwoju wsi. Chłop bowiem potrafi rzucone mu pod nogi kłody usunąć".

*

PROGRAM KONGRESU

Dnia 19.VI po południu przybycie ostatnich oddziałów pieszych i innych do Warszawy, zakwaterowanie.

Od 16 do 19 wspólne próby ze wszystkimi uczestnikami na Polu Mokotowskim.

Od 21 do 23 ogniska: 1) ognisko reprezentacyjne, a) Sobótki — Koła Młodzieży Wiejskiej z Miechowskiego, okolice Łętkowic, b) połączone chóry 4-głosowe i zespoły inscenizacyjne wykonają pieśni (Kutno, Łowicz, Sieradz, Łomża, Skierniewice, Ostrołęka, Miechów), c) całość (800 osób) wykona pieśni (chór 2-gł.) na rozpoczęcie i zakończenie ogniska.

2) ognisko: a) Kupała Lubelska — Koła Mł. Wiejskiej z Lubelskiego, połączone zespoły recytacyjne i inscenizacyjne wykonają pieśni (Lubelskie, Mińsk Maz., Włocławek, Nieszawa, Maków, Ciechanów, Mława), c) całość (600 osób) pieśni ogniskowe (chór 2 gł.).

3) ognisko: a) Inscenizowane święto Wiosny — Koło Młodzieży Wiejskiej pow. Radzymin, b) połączone zespoły inscenizacyjne wykonają pieśni — (Warszawa, Radzymin, Pułtusk, Grójec, Błotne, Sochaczew), c) całość (600 osób) pieśni ogniskowe.

Dnia 20.VI od 6 do 9 rano zbiórka uczestników Kongresu na Polu Mokotowskim.,

od 9 do 9.45 przybywanie gości i ostateczne formowanie się oddziałów;

godz. 10 — przybycie na plac zbiórki Marszałka Śmigłego-Rydza, powitanie Marszałka, odśpiewanie hymnu państwowego przez wszystkich uczestników;

od 10 do 10.30 Msza polowa.

10.30 do 11.30 — poświęcenie sztandaru Związku (w czasie poświęcenia Hasło — chór 2 gł. wszystkich uczestników).

Wygłoszenie deklaracji ideowej Związku przez Stanisława Gierata, prezesa Związku.

Recytacja zespołowa — woj. Warszawskie (10.000 osób).

11.30 do 13.30 defilada uczestników Kongresu przed Sztandarem Związku i Marszałkiem Śmigłym-Rydzem.

*

W Kongresie C. Z. M. W. według dotychczasowych zapowiedzi weźmie udział około 40 tys. młodzieży wiejskiej z całej Polski.

Zbigniew Domaniewski

Teza Dr. Schachta

W końcu maja bawił w Paryżu dr. Schacht. Pobyt w stolicy Francji, motywowany oficjalnie otwarciem pawilonu niemieckiego na Wystawie, dał ministrowi gospodarki narodowej Rzeszy sposobność do wyłożenia, w przemówieniach publicznych i w poufnych rozmowach z francuskimi mężami stanu, pewnych tez gospodarczo-politycznych. Z nich najcharakterystyczniejsza, najbardziej bezsprzecznie ulubiona, bo najwytrwalej przez dr. Schachta propagowana, jest teza następująca: „Pokój w Europie i na świecie będzie utrwalony wówczas tylko, kiedy Niemcy będą w stanie wyżywić swą ludność. Otóż nie posiadają ku temu dostatecznych baz kontynentalnych i wszelkie możliwości kolonialne są dla nich zamknięte". Opierając się na tej tezie dr. Schacht zażądał dyskretnie dla Rzeszy owych „możliwości kolonialnych".

Być może Niemcy kolonii nie dostaną. Zapewne nie zdobędą sobie nowych pól uprawnych w Europie. A więc dr. Schacht musiałby powiedzieć, że wielkiemu państwu germańskiemu grozi klęska głodu. Istotnie, Niemcy, odżywiając się głównie tym co produkują na własnym terytorium, znalazły się w sytuacji przepowiadanej całemu światu przez Malthusa w roku 1798. Refleksja ta przypomina nam jednak powiedzenie niemieckiego uczonego Fahlbecka, że wiek, który przyszedł po Malthusie — wiek XIX — „zadał bezlitośnie kłam" teorii, zawartej w *Essay on the principles of population*. Wiemy przy tym z własnego doświadczenia, że jeśli pominąć Trzecią Rzeszę to i w dwudziestym wieku nikt w państwach cywilizowanych nie głoduje z powodu braku ziemi. Wiek dziewiętnasty i wiek dwudziesty zadały kłam teoriom Malthusa: zadadzą kłam również — po chwili analizy krytycznej — i teoriom dr. Schachta. Bowiem obaj ci ekonomiści, choć dzieli ich 139 lat minionego czasu i ogrom dokonanego postępu, popełniają m. in. w swych rozumowaniach ten sam błąd: nie biorą dostatecznie w rachubę znaczenia międzynarodowej wymiany dóbr.

Kiedy Malthus pisał swe dzieło, międzynarodowa wymiana dóbr znajdowała się dopiero w fazie początkowej. Dziś, kiedy formułuje swe tezy dr. Schacht, obrót międzynarodowy zdaje się chylić ku upadkowi, zagrożony ideą autarchii państwowej. Ta idea przebija z cytowanej wyżej tezy dr. Schachta, choć w zasadzie, w odpowiedniej chwili, bywa on przeciwnikiem gospodarki autarchijnej. Kiedy dr. Schacht żąda dla Niemiec „możliwości kolonialnych" lub „kontynentalnych baz" żywnościowych, to twierdzi tym samym, że Rzesza pragnie zaspakajać swe potrzeby żywnościowe jeśli nie na swym terytorium państwowym, to co najmniej na terytorium swej, powiedzmy, suwerenności gospodarczej, gdzie wymiana dóbr nie mogłaby być w żadnym razie sparaliżowana przez jakiekolwiek czynniki nie-niemieckie. To niebezpieczeństwo, że każdy teren handlowy może Niemcom odmówić przyjęcia ich, a oddania im własnych produktów, namalowane zostało ze szczególną plastyką argumentacji politycznej przez kanclerza Hitlera 30 stycznia b. r. Nawiązując do swego niezłomnego postanowienia realizacji „planu czteroletniego" i do międzynarodowej sytuacji politycznej, mówił kanclerz Rzeszy, że „cieszę się i wszyscy się cieszymy z każdego wzrostu naszego handlu zagranicznego. Ale tylko nie zaniedbam wobec niewyjaśnionej sytuacji politycznej niczego, co zagwarantuje narodowi niemieckiemu egzystencję jeszcze i wtedy, kiedy być może i inne państwa będą ofiarą zarazy bolszewickiej... Zrewolucjonizowanie Hiszpanii zadało ciężką stratę handlowi niemieckiemu. Gdyby to zrewolucjonizowanie Hiszpanii przerzuciło się na inne europejskie państwa, wtedy ta strata nie byłaby zmniejszona, tylko powiększona. A jako odpowiedzialny mąż stanu muszę się i z takimi ewentualnościami liczyć... Dostrzeżemy każdą możliwość, aby wzmocnić nasze stosunki gospodarcze z innymi narodami, ale tak samo każdą możliwość, aby polepszyć i pogłębić wewnętrzny obieg naszego gospodarstwa".

W ten sposób Hitler motywował konieczność przeprowadzenia planu czteroletniego i uzyskania przez Niemcy kolonii, jako baz gospodarczo-organicznie wewnętrznych, dostarczających tych surowców i tych brakujących ton środków żywnościowych, których w żadnym razie nie może dać obecne terytorium państwowe. Rozwijając teorie kanclerza dr. Schacht tłomaczył w Paryżu, iż jego „żądanie polega dziś na tym, aby umożliwiono Niemcom pewną aktywność kolonialną, której forma mogłaby być ustalona przez układy międzynarodowe". Znaczy to, że jeśli w styczniu Hitler żądał raczej zwrotu dawnych kolonii, to w maju Schacht żąda dla Niemiec samorządu gospodarczego w obecnych terytoriach mandatowych, aby w ten sposób zapewnić Niemcom raz na zawsze kolonialny obrót handlowy. Ale zarówno w pierwszej, jak i w drugiej koncepcji, z punktu widzenia niemiecko-mocarstwowego istnieje wielka luka: ani własne kolonie, ani „samorząd gospodarczy" w obecnych mandatach nie zapewnią Niemcom wymiany handlowej podczas wojny. I nie można na to odpowiedzieć, że Niemcy tak bardzo pragną pokoju, że nie potrzebują myśleć o wojnie. Właśnie Niemcy głoszą, że są zagrożone i dlatego zbroją się, choć budując armaty muszą odejmować obywatelom od ust niezbędne dla organizmu masło. Zdaniem Hitlera zbrojenia niemieckie przez to, że gwarantują Niemcom bezpieczeństwo, gwarantują Europie pokój. Otóż właśnie te zbrojenia wymagają, jako nieodzownego dopełnienia gospodarczego, realizacji planu czteroletniego. Wymagają one nadto własnych baz żywnościowych, które zapewniłyby narodowi i armii chleb podczas pokoju i wojny.

Jeżeli zaś doświadczenia ostatniej wojny wykazały, że w razie starcia z mocarstwami zachodnimi Niemcy zostają odcięte od rynków zamorskich, to wynika z tego, że uzyskanie przez Trzecią Rzeszę „możliwości kolonialnych" nie zabezpieczyłoby — jak mówi Hitler — „egzystencji narodowi niemieckiemu wtedy", kiedy by „zrewolucjonizowanie Hiszpanii przerzuciło się" np. na Francję. Bowiem Francja zbolszewizowana, Francja zbolszewizowana i sprzymierzona z Sowietami — to wojna z Niemcami; przynajmniej tak właśnie dowodzą hitlerowcy. A w razie starcia Francji z Niemcami, Francja byłaby dość silna na morzu i w Afryce dla odcięcia Niemiec od ich kolonii lub „możliwości kolonialnych", czy też odebrania im tych „możliwości" w wojnie kolonialnej.

Jeżeli więc potężna armia niemiecka ma chronić pokoju, to nie wzmocni go, jak twierdzi dr. Schacht, oddanie Niemcom ich dawnych kolonii lub otworzenie im w nich „możliwości", gdyż nie wzmoże to (gospodarczo) gwaranta pokoju europejskiego — potencjału zbrojnego niemieckiego; taki wynika wniosek z założeń hitlerowskich.

Tak wyglądają sprawy — w krzywym zwierciadle frazeologji hitlerowskiej. Nikt przecież nie traktuje inaczej oświadczeń, że armia niemiecka powstaje dla obrony pokoju. Wiemy i zgadzamy się, iż zadaniem jej ma być, jeśli nie wojna zdobywcza to odegranie roli pięści, której uderzeniem Hitler chciałby zainaugurować debatę międzynarodową na temat postulatów polityczno-narodowych czy potrzeb gospodarczych Niemiec, a w pierwszym rzędzie ich potrzeb żywnościowych.

Niemcy nie będą głodować bez końca. Nie ulega również wątpliwości, że nie przestaną nagle odlewać armat, aby dać przez to narodowi masło. Raczej zaczną z tych armat strzelać, lub co najmniej nimi grozić, aby zdobyć żywność dla kraju. Odzyskanie, choćby częściowe dawnych kolonii lub uzyskanie „możliwości kolonialnych" może rozwiązać w szybkim tem-

pie handlowy problem wyżywienia Rzeszy. Ale wszystkie te ewentualne możliwości kolonialne pozostawią bez rozwiązania mocarstwowy problem aprowizacyjny. Ten problem zawiera w sobie postulat utrzymania handlu w każdej okoliczności, czyli, w danym razie, postulat zabezpieczenia dróg morskich między Metropolią a koloniami. Spełnienie tego postulatu wymagałoby od Niemiec zbudowania floty wojennej dorównywującej co najmniej połączonym flotom Francji i Anglii. Takie siły morskie w ręku Niemiec byłyby jeszcze większą groźbą dla Anglii, jak flota Wilhelma II. I można być pewnym, że tak samo, jak aktywność kolonialna Niemiec cesarskich, pociągając za sobą rozbudowę floty wojennej, doprowadziła je do Skageraku, tak i tym razem nieodzowne konsekwencje mocarstwowej ekspansji kolonialnej doprowadziłyby Trzecią Rzeszę do starcia z flotą brytyjską. Tego zaś Niemcy hitlerowskie pragną za wszelką cenę uniknąć.

Jest więc zupełnie logiczne, gdy dr. Schacht, mówiąc o potrzebach kolonialnych Rzeszy, nie wysuwa jednocześnie postulatu suwerenności politycznej Rzeszy w terytoriach kolonialnych. Logiczne jest również, gdy Trzecia Rzesza, przystępując do odbudowy floty wojennej, zawiera z Anglią umowę o wzajemnym ustosunkowaniu zbrojnych sił morskich. Jedno i drugie świadczy, że Hitler nie odbiega od idei, wyrażonej w *Mein Kampf;* zarzucał on tam Drugiej Rzeszy, iż rozpraszała niemiecką ekspansję mocarstwową i doprowadziła do konfliktu zbrojnego z Wielką Brytanią. To też gdy narodowy socjalizm dojdzie do władzy, zapowiadał Hitler, zatrzyma ekspansję zamorską, a wszystkie siły żywotne Niemiec skieruje na europejski Wschód. To też i rewindykacje kolonialne, wysuwane pod hasłem potrzeb żywnościowych i surowcowych Rzeszy, nie mają dziś nic wspólnego z tym, co za czasów Wilhelma II nazywano „szukaniem dla Niemiec swego miejsca w świecie". Tym razem Rzesza szuka za morzem dóbr gospodarczych, a nie nowych terytoriów państwowych. Rewindykacje Trzeciej Rzeszy,zaogniające jej stosunki polityczne z tym państwem, o które właśnie jej najwięcej chodzi — Anglią, są wyrazem konieczności handlowych, oczywiście, o ile pominąć ich znaczenie jako pierwszego aktu polityki rewizjonistycznej.

Ewentualne uzyskanie przez Rzeszę kolonialnych baz żywnościowych nie oznaczałoby w tych warunkach posiadania baz żywnościowych położonych wewnątrz niemieckiego kręgu mocarstwowego. Czy zaś podczas wojny, czy podczas pokoju, państwo, którego wyżywienie może być przez kogokolwiek z dużą dozą prawdopodobieństwa w razie wojny trwale poderwane, nie jest w pełnym tego słowa znaczeniu wielkim mocarstwem. A więc dwie alternatywy, które tkwią jakby w cytowanej tu na wstępie paryskiej tezie dr. Schachta, są tylko pozornie alternatywami. Są w gruncie rzeczy dwiema całkowicie różnorodnymi ewentualnościami, odpowiadającymi nie jednemu, ale dwóm celom. Alternatywa: „dostaniemy możność działalności kolonialnej" — odpowiada chwilowym handlowym potrzebom Rzeszy; druga alternatywa: „dostaniemy europejskie bazy żywnościowe" odpowiada jej trwałym potrzebom mocarstwowym. Przy tym wiadomo, że owe europejskie „mocarstwowe" bazy żywnościowe mogą to być tylko ziemię przyległe do Rzeszy. Gdyby te ziemie dostały się bezpośrednio pod suwerenność Rzeszy — w razie rewizji klauzul terytorialnych traktatu wersalskiego— lub w razie, gdyby znalazły się w kręgu niemieckiej hegemonii mocarstwowej — wyżywienie Rzeszy byłoby raz na zawsze zapewnione, a budowla jej jako wielkiego mocarstwa ostatecznie scementowana.

Cementowanie mocarstwowej budowli Rzeszy wymaga więc, z punktu widzenia autarchii żywnościowej — pomijając inne, równie doniosłe względy, które nas chwilowo nie interesują, albo rewizji wschodnich granic Rzeszy, albo realizacji „Mitteleuropy". Do pierwszej z tych alternatyw sterował dr. Schacht przemawiając 9 grudnia 1936 we Frankfurcie nad Menem z okazji stulecia tamtejszego „Verein fur Geographie und Statistik". W przemówieniu tym minister gospodarki Rzeszy rozwodził się szeroko o roli, jaką odgrywały w sytych Niemczech przedwojennych terytoria utracone w Wersalu, a szczególnie Poznańskie. Gdyby Rzesza istniała dotychczas jeszcze w swych przedwojennych granicach — mówił dr. Schacht — to nie tylko, że podstawa odżywcza narodu niemieckiego byłaby zapewniona, ale byłby nawet możliwy pewien nadmiar w produkcji zboża, ziemniaków, jaj i tłuszczy. Skutkiem utraty terytoriów po wojnie Rzesza straciła 25% produkcji rolnej, ale tylko 10% ludności. Dalej, operując szczegółowymi danymi statystycznymi, wykazał dr. Schacht swym słuchaczom, że śpichlerzem Niemiec przedwojennych były przede wszystkim Poznańskie i Pomorze, którego część dziś należy do Polski. A więc polskie ziemie zachodnie to jedna z tych właśnie „europejskich baz żywnościowych", które Rzesza dla scementowania swej budowli mocarstwowej, albo musi odzyskać w drodze rewizji granic, albo też wprowadzić je w krąg „Mitteleuropy". Ponieważ w chwili obecnej nie ma koniunktury na rewizję granic, więc też Niemcy starają się pozyskać mocarstwa, a przede wszystkim Anglię, dla idei hegemonii germańskiej w Europie Wschodniej i Południowo-Wschodniej. Na ten temat pisał i dr. Schacht, mianowicie w amerykańskim miesięczniku *Foreign Affairs,* w styczniu ub. roku. Teraz znów na temat „Mitteleuropy", jako formy zaspokojenia Niemiec i ugruntowania przez to pokoju (!), zabrał głos w londyńskim miesięczniku *The Nineteenth Century and After* (maj) — nawiązując m. in. do nowojorskiego artykułu dr. Schachta — znany angielski germanofil lord Lothian. Głos jego jest o tyle znamienny, że odzwierciadla myśli, lansowane w londyńskim świecie politycznym przez *Anglo-German-Fellowship,* towarzystwo ugruntowane w Anglii w roku 1935 dla kultywowania idei wieczystej przyjaźni angielsko-niemieckiej. Otóż lord Lothian, jeden z filarów *A.-G.-F.*, dowodzi w swym artykule, zatytułowanym „Anglia i Niemcy", że „najważniejszym światowym problemem współczesności jest troska o przyszłość Niemiec". Jak ten problem może być rozwiązany? Lothian jest zdania, że terenem, dla tego rozwiązania, najwłaściwszym, jest teren gospodarczy Europy Wschodniej. Stwierdza przede wszystkim, że „dzisiejsze przesadne gospodarcze rozczłonkowanie Europy Wschodniej" nie może być uznane za trwałe. Tak samo, jak zdaniem jego, nie może być trwałe gospodarcze rozczłonkowanie Ameryk Środkowej i Południowej, któremu ma zapobiedz Unia panamerykańska. I wychodząc z tego założenia Lothian stawia sobie pytanie: „Czy można pomyśleć, że Niemcy ugruntują podobny związek wolnych narodów w Europie Środkowej?" — Jeśliby to dało się urzeczywistnić, to — pisze Lothian — Europa uwolniłaby się od największej swej troski, jaką jest przyszłość Niemiec. „Niemcy otrzymałyby dziedzinę gospodarczą, która nie byłaby wiele różną od dziedzin innych wielkich mocarstw.

Najciekawsze jednak, że lord Lothian, niezależnie od Mitteleuropy, lansuje projekt otworzenia Niemcom drogi do szerokiej działalności gospodarczej (bez oddania im suwerenności politycznej) w ich dawnych koloniach. Podkreślamy: dla polityka angielskiego, co do którego wiemy, że orientuje się doskonale w zamierzeniach Trzeciej Rzeszy, obie te idee mają niezależną rację bytu. I w ten sposób znakomity koryfeusz wieczystej przyjaźni angielsko - niemieckiej odkrywa mimowoli karty dr. Schachta. Nie chodzi dr. Schachtowi o uzyskanie dla Rzeszy albo „możliwości kolonialnych", albo „europejskich baz żywnościowych", tylko uzyskanie jednego oraz drugiego. To „albo", które np. tkwi napozór w paryskiej tezie dr. Schachta, jest tylko lepem, na który Rzesza chce złapać tych, co sądzą, że otworzenie Rzeszy możliwości kolonialnych odwróci ich pęd ekspansywny od europejskiego Wschodu. Tak prosta sprawa nie jest. Otworzenie Rzeszy przez Anglię i Francję możliwości kolonialnych zaspokoi żołądki zwykłych obywateli niemieckich, ale nie mężów stanu, odczuwających już teraz ewentualny głód przyszłych lat i którzy dlatego muszą myśleć o bazach żywnościowych leżących tuż pod ręką, w sferze niezachwianego władztwa Rzeszy. A te bazy — to w planach Rzeszy europejskie ziemie wschodnie. Tym bardziej zaś wchodzą w plany Rzeszy te ziemie, że rozsiane są na nich nie tylko łany zboża, ale i miliony ludzi, stanowiących znakomity teren dla wszechstronnej działalności gospodarczej.

Z KARTY ŻAŁOBNEJ

Ś. p. Juliusz Dreszer

Żył lat 44. Należał do pokolenia, które wcześnie rozpoczynało swą pracę dla Polski. Mając lat czternaście, wszedł do kół szkolnych dawnej Organizacji Młodzieży Narodowej na terenie Częstochowy. W pracy tej przeszedł wszystkie etapy odpowiedzialności, przyjmując udział w walce o szkołę polską, w organizacji młodzieży gimnazjalnej pod hasłami pracy narodowej i niepodległościowej. Przechodząc normalne koleje służby organizacyjnej, staje się członkiem tajnej organizacji „Przyszłość" („Pet"), zaprawiając się pod kierunkiem swych starszych braci do nieprzerwanego łańcucha służby publicznej.

W roku 1911 rozpoczyna studia akademickie w ówczesnej Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Podobnie jak na ławie gimnazjalnej jest jednym z najczynniejszych uczestników prac akademickich Organizacji Młodzieży Narodowej i jej kierowniczego ośrodka Związku Młodzieży Polskiej („Zetu"). Szczególnie żywy udział przyjmuje we wszystkich formach akcji bojkotu szkoły rosyjskiej, organizując — wespół z innymi — szereg wystąpień o charakterze akcji czynnej.

Przychodzi rok 1914. Ś. p. Juliusz Dreszer jest jednym z tych, którzy od pierwszej chwili znaleźli się pod sztandarami ruchu legionowego. Rozpoczynając służbę jako szeregowiec I-go pułku ułanów I-ej Brygady, na polu walki zdobywa pierwsze najcenniejsze awanse służby żołnierskiej, w której tak znakomite, tak piękne miejsce zajął Jego starszy brat, ś. p. Gustaw Orlicz-Dreszer.

Przychodzi rok 1918. Ś. p. Juliusz Dreszer przyjmuje udział w walkach o granice Państwa Polskiego z tym samym męstwem i cnotą żołnierską, jaką przejawił wcześniej w walkach legionowych. Po zakończeniu wojny, w roku 1921, wychodzi ze służby czynnej w stopniu rotmistrza szwoleżerów. Armia nagrodziła Jego cnoty żołnierskie i cnoty dowódcy krzyżem virtuti militari i krzyżem walecznych. Do tych odznaczeń wojskowych Państwo dodało w przyszłości krzyż niepodległości oraz oficerski krzyż Polonia Restituta, jako świadectwo cnoty i zasługi obywatelskiej.

Zakończenie okresu walki o Polskę pozwala Juliuszowi na powrót do przerwanych studiów akademickich. Po ukończeniu wydziału prawnego na Uniwersytecie Warszawskim poświęca się adwokaturze, szybko zajmując jedno z czołowych miejsc w szeregach palestry warszawskiej. Wyrazem pozycji zdobytej szybko w kołach zawodowych przez ś. p. Juliusza Dreszera, zaufania i poważania, jakim cieszył się w kołach prawniczych, jest fakt powołania Go na prezesa Koła Adwokatów Rzeczypospolitej, jednej z dwóch centralnych organizacji zawodowych palestry polskiej.

Lecz praca zawodowa nie wypełnia wszystkich zainteresowań Zmarłego. Wierny przyjętym na siebie w latach młodzieńczych zobowiązaniom „służby publicznej", bierze ś. p. Juliusz Dreszer czynny udział w wielu pracach o charakterze społeczno-organizacyjnym. Jest jednym z założycieli i pierwszym sekretarzem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. W latach ostatnich, za przykładem brata gen. Gustawa Orlicza-Dreszera, interesuje się przede wszystkim Ligą Morską i Kolonialną, będąc członkiem Zarządu Głównego tej instytucji, wkładając w jej działalność żywy udział wysoce wartościowego wysiłku intelektualnego, szczerego zapału i ofiarnej pracy.

Wychowaniec Związku Młodzieży Polskiej, Żołnierz I-ej Brygady, wyniósł ze swoich lat młodzieńczych zdolność żywego i niezależnego sądu, odwagę przekonań, a równocześnie żołnierski stosunek do wszystkiego, w czym widział dobro Polski.

Czynny do ostatnich dni swego życia, odszedł niespodziewanie. Odszedł, nie wypełniwszy wszystkich swych zadań życiowych, nie wyczerpawszy naturalnego zasobu swych sił i swej energii. Jednakże charakter i zakres prac wykonanych jest dostatecznie wielki, by w ostatniej chwili pożegnania móc stwierdzić trwałą, nieprzemijającą zasługę Zmarłego dla Państwa i Narodu Polskiego.

Niech pamięć tej zasługi pozostanie między żywymi jak najdłużej niepomniejszona, niezatarta. Cześć pamięci Żołnierza-Obywatela, który żył, walczył i pracował dla Polski.

Z.

Tomasz Piskorski

Nad grobem ś. p. Kazimierza Stańczykowskiego*)

Pracował z nami przez kilkanaście lat. Rok po roku, dzień w dzień, staliśmy przy jednym warsztacie ideowym, jednej służyliśmy Sprawie. Ale dopiero teraz, gdy nie stało ś. p. Kazimierza Stańczykowskiego, uświadamiamy sobie, jakiej miary człowiek ubył z naszego grona, dopiero w tej chwili zdajemy sobie sprawę, kogo straciliśmy. Dlatego słuszną jest rzeczą uprzytomnić sobie, jaki był „wykaz służby" naszego zmarłego Kolegi, służby przodowniczej, służby, w najszlachetniejszym słowa tego znaczeniu, oficerskiej.

Kazik urodził się 5 lutego 1901 r. w Idzikowicach, w ziemi opoczyńskiej, tej ziemi, którą później tak zawsze kochał, tęsknił do niej i korzystając z każdej sposobności — ze wzruszeniem wspominał.

Jako uczeń gimnazjum piotrkowskiego zaciągnął się do drużyny harcerskiej. To była jego pierwsza praca społeczna. Zasadom harcerskim nie sprzeniewierzył się w następnych latach swego życia, pozostając zawsze wierny ideałom spod znaku lilii skautowej. Jednocześnie przyszły działacz bratniacki zaczyna pracę na gruncie samopomocy koleżeńskiej. Szybko wybija się i po pewnym czasie zostaje członkiem prezydium ogólnopolskiego Związku samopomocy uczniowskich.

Ale lata szkolne dwukrotnie przerywa Mu szczęk oręża. W r. 1918 Kazik uczestniczy w rozbrajaniu okupantów niemieckich, w r. 1920 widzimy Go w mundurze 6 pułku ułanów, do którego wstąpił, jako ochotnik. Danym Mu było wtedy stwierdzić, że w potrzebie wojennej potrafił stanąć na apel Ojczyzny. Patriotyzm swój hartował w ogniu bitewnym.

Przychodzą czasy akademickie. Nie starczą Kazikowi ciasne ramy korporacji studenckiej, do której dostał się. Szuka większych możliwości, szczytniejszych celów. Wreszcie zetknął się z Organizacją Młodzieży Narodowej Szkół Wyższych. Czyż mogłem przypuszczać, że ja, który ongiś przeprowadzałem pierwszą bodaj z nim rozmowę w sprawie Jego wstąpienia do O. M. N., że ja właśnie po latach kilkunastu będę Go żegnał odchodzącego na wieki, imieniem wychowanków tej samej Organizacji, t. j. Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej.

W Organizacji Kazik szybko awansuje i zostaje prezesem Okręgu Warszawskiego. Nie na długo jednak — nowe bowiem czekają Go obowiązki: odpowiedzialna funkcja prezesa Bratniej Pomocy Studentów na Stołecznym Uniwersytecie. Pracą i zasługami wciąż wybija się naprzód, zostaje wiceprezesem Ogólnopolskiego Związku Akademickich Bratnich Pomocy. Szczególną troską otacza ten dział życia samopomocowego, który obejmuje Koła Prowincjonalne. Zaczyna na tym polu — nie mogło być inaczej — od Koła swej macierzystej Ziemi Opoczyńskiej, któremu przewodniczy. Kolejno piastuje po tym prezesury: w Zrzeszeniu Akademickich Kół Prowincjonal-

*) Przemówienie wygłoszone na pogrzebie ś. p. K. Stańczykowskiego w dniu 3 czerwca r. b. imieniem Związku Seniorów O.M.N. z Z.P.M.D.

nych na terenie Warszawy, wreszcie w Ogólnopolskim ich Związku.

Nie zasklepiał się jednak Kazik tylko na gruncie akademickim. Swymi zainteresowaniami sięgał dalej — żywo reagując na zagadnienia socjalne — przede wszystkim wsi polskiej. Organizuje tedy i pierwszy przewodniczy — Kołu Młodzieży Wiejskiej w rodzinnych stronach opoczyńskich, a następnie działa wydatnie na innych placówkach tego terenu. Jest m. in. wiceprezesem Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej, a następnie — po przetworzeniu tej organizacji w Centralny Związek Młodej Wsi — staje w nim na czele województwa warszawskiego.

Już jako adwokat pragnie poznać bliżej inny jeszcze teren: robotniczy. Oto widzimy Go, jak współpracuje wtedy na gruncie związków zawodowych, biorąc udział w akcji kulturalno-oświatowej. Ale dawnego prezesa Bratniej Pomocy pamiętają młodzi prawnicy, koledzy uniwersyteccy. To też zostaje powołany na stanowisko prezesa Rady Naczelnej Związku Zrzeszeń Aplikantów Zawodów Prawniczych. Następną jego funkcją społeczną na polu własnego zawodu, to godność sekretarza Koła Adwokatów Rzplitej Polskiej w obrębie Warszawy.

Na tym nie kończy się jednak spis obowiązków, podejmowanych przez ś. p. Kazimierza Stańczykowskiego. Zainteresowania Jego wybiegają poza granice Państwa — sięgają doli ośmiomilionowej rzeszy rodaków, rozsianych na obu półkulach świata. Kazik uczestniczy w Komitecie Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy przy Światowym Związku Polaków z Zagranicy od początku istnienia Komitetu i należy do współorganizatorów II-go wielkiego Zjazdu Polonii Zagranicznej.

Posiadając zaś temperament polityczny i głęboko odczuwając problemy socjalne, stale współdziała we wszystkich pracach, inicjowanych na tym polu przez swą macierzystą organizację ideową. Gdy wreszcie rok temu padł stamtąd głos — pierwszy bodaj w społeczeństwie — o potrzebie przeprowadzenia konsolidacji narodowej i gdy wyłoniono Centralną Radę Działaczy Społecznych, Kazik znalazł się w jej składzie, a nadto objął odpowiedzialną funkcję wiceprezesa Związku Działaczy Społecznych na terenie województwa warszawskiego.

Poza tym w ostatnich latach piastował m. in. stanowiska: członka Zarządu Stowarzyszenia Przyjaciół Wielkiej Warszawy, członka Zarządu Ligi Obrony Przeciwlotniczej w stolicy, członka Zarządu Głównego Związku Seniorów O. M. N. i Z. P. M. D. Na gruncie tegoż Związku do końca swych dni był prezesem Głównej Komisji Rewizyjnej.

Nie to jednak jest ważne, jakie pełnił urzędy, jakimi obdarzano Go stanowiskami. Donioślejszym jest, jakie wnosił On w te organizacje wartości, czym legitymował swój udział w życiu publicznym. — U podłoża jego osobowości gorzał patriotyzm, uczucie to do czerwoności niemal rozpalone, nadawało ton całej Jego indywidualności. A był to patriotyzm czynny, żywy, twórczy. Idąc śladem Wielkiego Marszałka, którego zawsze był godnym i niezłomnym wyznawcą, ś. p. Kazimierz Stańczykowski stosował się do Jego stwierdzenia, że „zadaniem duszy ludzkiej jest tworzenie". Tworzeniu temu nadawał kierunek przede wszystkim realizacji haseł sprawiedliwości społecznej, które chciał zawsze widzieć oparte o dobro Narodu i Państwa. Takie mając główne wskazania, w swych rozlicznych pracach był zawsze i wszędzie wyrazicielem i pięknym uosobieniem prawdziwej ideowości i takich rzadkich cnót obywatelskich jak ofiarność, bezinteresowność, odwaga cywilna. Nawet i na gruncie zawodowym dawał dowody swej bezinteresowności, gdy jako adwokat często służył radą i obroną tym, których nie było stać na honoraria. Rozumiał nędzę ludzką i gdy tylko mógł, chętnie innym łzy ocierał.

Kaziku! Drogi Kolego organizacyjny, najserdeczniejszy nasz Przyjacielu i Bracie! Na pożegnanie niech nam wolno będzie dziś rzec, że dzielnie i ofiarnie pełniłeś swą służbę dla Organizacji naszej, że należałeś do tych, którzy, jako pionierzy, w pierwszym szli szeregu, głosząc jej zasady, nieugięcie realizując naczelny nasz postulat Dobra Narodu i Państwa i wcielając w twardy czyn hasło Sprawiedliwości Społecznej. Wzmociłeś cegłą swych prac, znojów i osiągnięć gmach ideowego dorobku macierzystej Organizacji, na którego siłę i głębokość składały się pokolenia najlepszych synów Ojczyzny w ciągu całego półwiecza. Dalej stwierdzić możemy, żeś był wytrwałym i pojętnym, a kochającym wielce uczniem Komendanta Piłsudskiego i że wszędzie, gdzie mogłeś, od wczesnych swych lat starałeś się, aby wskazania Wielkiego Wodza szły w społeczeństwo i właściwego nabierały znaczenia.

Kaziku! My, pozostający nadal w ziemskiej służbie krajowi ojczystemu, żegnamy Ciebie naszym starym zawołaniem organizacyjnym, które i Twego całego życia było dewizą: „Dla Polski!".

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Saturnin Dąbrowski

Agraryzm jako misja dziejowa chłopstwa

2.

OD OGÓLNYCH ZAŁOŻEŃ AGRARYZMU DO KONKRETNYCH WSKAZAŃ DZIAŁANIA

Niezrozumiałym jest fakt, że koncepcja agraryzmu mimo doskonałych warunków przejawia tak stosunkowo mało ekspansji.

Wyrażamy zadowolenie, że różne kierunki w swych programach uwzględniają te lub inne wskazania, które pokrywają się z założeniami agraryzmu. Jednak tego rodzaju częściowe zgodności poglądów i przenikanie ułamkowych myśli nie starczą, aby głosić zwycięstwo agraryzmu.

Kierunek jakiś zwycięży, jeżeli swą jednolitą koncepcją przeniknie światopogląd szerokich mas i na podstawie tego światopoglądu zorganizuje powszechną akcję zainteresowanych środowisk. Aby agraryzm mógł uzyskać taką pozycję, musi przejść przez dwa etapy pracy:

I. Muszą być szczegółowo opracowane przesłanki programowe i dostosowane do aktualnych zagadnień zarówno całego życia narodowego, jak i warstw, których sprawy agraryzm ma objąć swym rzecznictwem.

II. Propaganda agraryzmu musi być agresywna i konsekwentnie przeprowadzana na drodze organizacyjnej.

Opracowywanie wskazań programowych bynajmniej nie wymaga teoretycznego rozwijania założeń ruchu, które są jasne i dosadnie sformułowane. Konieczna tu jest praca myślowa, która raczej polegać powinna na ustanawianiu wytycznych, jak te zasady mają być stosowane do faktycznego stanu rzeczy w życiu współczesnym.

Spróbujemy uwydatnić najważniejsze problemy realizacji, które wymagają rzetelnego przemyślenia.

Agraryzm w swych założeniach przeprowadza syntezę liberalizmu i socjalizmu. Wymaga to ścisłego ustalenia punktu, do którego sprowadza się tę syntezę.

Chodzi o ustalenie, w jakim zakresie dopuszcza się regulowanie procesów ekonomicznych przez swobodną grę sił — a które procesy i w jakim stadium ich rozwoju mają być poddane dyspozycjom społecznym i prowadzone na odpowiedzialność publiczną.

Jednocześnie należy rozstrzygnąć problem form i taktyki: — w jaki sposób ma być zapewniona swoboda współzawodnictwa gospodarczego tam, gdzie ono zostało uznane za pożyteczne i twórcze; — również należy określić, w jakich formach mają się przejawiać dyspozycje społeczne w zakresie spraw gospodarczych i w jaki sposób ma być ujawniona odpowiedzialność za to, czy przedsiębiorstwa, prowadzone na rachunek publiczny, rzeczywiście odpowiadają potrzebom ogółu.

Ustalenie ścisłej podstawy, na której ma być przeprowadzana synteza rozwoju społecznego, jest konieczne dla stworzenia możliwości pozyskiwania zwolenników. Warstwy społeczne, których rzecznikiem ma być agraryzm, wówczas tylko uznają go za kierunek swej przyszłości, jeżeli dokładnie będą się orientować, w jakim zakresie założenia agraryzmu umożliwiają realizację ich dążeń społecznych, ochraniają ich najżywotniejsze interesy gospodarcze oraz zabezpieczają przed supremacją klas posiadających, które byt swój oparły na tak szerokim przywileju władania, że umożliwia im to przewagę mate-

rialną w społeczeństwie i wyzysk pracy ogółu.

Założenie syntezy decyduje o tym, że agraryzm odrzuca samoczynność mechanizmu gospodarstwa społecznego w obydwuch jej odmianach: liberalnej i socjalistycznej.

Liberalizm twierdzi, że wszelkie procesy ekonomiczne w całości gospodarki światowej samorzutnie się regulują przez konkurencję i naturalny dobór sił. Socjalizm twierdzi, że przyszły ustrój automatycznie zostanie wyłoniony przez układ sił materialnych i przez konsekwencje rozbudowy kapitalistycznych form gospodarowania. Porządek społeczny w tym ustroju jest już określony i bez względu na to, czy wydaje się on nam mniej lub bardziej idealny, jest konieczny taki, jaki musi być i na nic już nie poradzi wola zbiorowości.

Agraryzm — opierając swoje założenia na syntezie — tym samym stwierdza, że w obecnym stanie rozwoju cywilizacyjnego podstawowym czynnikiem, który decyduje o kierunkach rozwoju narodowego i ustaleniu form gospodarstwa społecznego — jest świadoma wola zbiorowości.

Społeczność przy pewnym stadium wyrobienia kulturalnego oraz przy wykształceniu odpowiednich organizacji zbiorowego współżycia i działania zdolna jest określić kierunki swego rozwoju oraz dobierać te formy gospodarowania, które gwarantują najpełniejsze zadośćuczynienie potrzebom ogółu oraz gwarantują wydobycie maksimum potencji twórczości ludzkiej.

Należy więc zgłębić niezmiernie doniosły problem: w jakich warunkach i za pośrednictwem jakich instytucji społecznych ma się przejawiać świadoma wola ogółu. Jak pogłębiać świadomość zbiorowości i kształcić jej wolę.

Agraryzm określa, że największe nasilenie twórcze geniuszu ludzkiego osiąga się w harmonijnym zespoleniu pierwiastków indywidualnych i społecznych.

Kierunki dziś najbardziej agresywnie występujące, biegunowo przeciwnie ustosunkowują się do zagadnienia jednostki i zbiorowości. Komunizm i faszyzm we wszelkich jego postaciach negują wartość i prawa jednostek i gubią je na rzecz zbiorowości. Zaś liberalny światopogląd świata kapitalistycznego hołduje zasadzie swawoli jednostek i pozwala im na zdobywanie bezwzględnej przewagi materialnej nad zbiorowością.

W przeciwstawieniu tym tendencjom agraryzm dąży do zaprowadzenia takiego porządku, który należało by określić jako uspołeczniony indywidualizm.

Agraryzm głosi, że formy życia społecznego powinny być tak pomyślane, aby gwarantowały każdej jednostce jak najwszechstronniejsze korzystanie ze zdobyczy kultury i cywilizacji oraz umożliwiły jej wydobycie pełni wartości twórczych. Przez pogłębienie treści i rozszerzenie zakresów indywidualnej twórczości osiąga się bogactwo życia społecznego i potęgę wszechstronnego rozwoju narodowego.

Powyższe założenia uwydatniają szczególną wagę nader zawikłanych obecnie problemów ustrojowych, które musi rozwiązać agraryzm. Nie wystarcza formuła, że agraryzm staje na stanowisku demokratycznym i przeciwstawia się tendencjom dyktatorskim, niezależnie od tego, w imię jakich zasad są podjęte.

Demokracja to porządek społeczny, który szanuje prawa wszystkich i wszystkim gwarantuje swobodę pracy twórczej.

Każdy porządek społeczny musi być oparty na pewnych formach organizacyjnych.

Liczne i ostre konflikty w stosunkach publicznych stwierdzają, że dotychczasowe formy organizacyjne demokracji okazały się niedostateczne dla utrzymania porządku społecznego. Oceniając z historycznej perspektywy stwierdzić należy, że dotychczasowe formy ustroju demokratycznego wykształcone były w okresie walki o demokrację i siłą rzeczy zostały dostosowane do potrzeb tej walki. Natomiast w długim okresie walki o demokrację porządek społeczny faktycznie utrzymywany był przez formy organizacyjne resztek ustroju feudalnego (monarchie, oparte na arystokracji rodowej) — przy tym różne instytucje feudalne coraz szerzej były asymilowane przez formy kapitalistycznej plutokracji.

Z chwilą, gdy formy feudalne zostały ostatecznie obalone, a ustrój kapitalistyczny załamał się w wyniku własnych sprzeczności — demokracja musi utrzymywać porządek społeczny całkowicie na własną odpowiedzialność. Do tego trzeba form pozytywnych. Formy, dostosowane do akcji negatywnej — do walki z feudalizmem, nie wystarczą. Dowodem tego jest fakt, że demokracja przy dotychczasowych formach nie mogła się ostać wobec agresywności nawet nielicznych grup, które swój porządek usiłują wprowadzić drogą dyktatury.

Dyktatury wszędzie opierają się na przemocy. Fakt ten wymownie potwierdza przejściowy, tymczasowy charakter tych ustrojów. Tymczasowość ta będzie trwać dotąd, dopóki demokracja nie wykształci pozytywnych form porządku społecznego.

Agraryzm, jeżeli ma być twórczym kierunkiem przyszłości, rozwinąć pracę myślową nad ustaleniem wytycznych, według jakich mają być budowane pozytywne formy porządku społecznego. Ogólnik, że demokrację chcemy oprzeć na silnej władzy — nie wystarcza. Trzeba ustalić, jaką drogą zbiorowość demokratyczna ma powoływać swoją władzę, która mogła by zdecydowanie i sprawnie działać. W jakim zakresie władza ta ma przejawiać swoją działalność i jakimi drogami odpowiedzialność publiczna ma regulować zadania władzy. Jaki należy ustalić faktyczny stan rzeczy w demokracji, aby odpowiedzialność publiczna wszelkich ogniw władzy była istotna, a nie przeradzała się w tajemniczą potęgę intryg nieuchwytnych czynników oraz aby nie przeobrażała się w narzędzie przemocy pewnych środowisk nad ogółem.

Agraryzm realizację swych zadań w zakresie gospodarstwa społecznego przeprowadza na drodze spółdzielczości.

Takie ogólnikowe stwierdzenie zawiera w sobie niejasność taktyczną.

Czy agraryzm sprawy społeczno-gospodarcze przerzuca poza orbitę swoich bezpośrednich zainteresowań i realizację ich przekazuje spółdzielczości, jako samodzielnemu ruchowi — sam zaś ogranicza się do manifestacji sympatii wobec tego ruchu?

Czy też agraryzm uważa spółdzielczość jako społeczne formy czynności gospodarczych i formy tej pragnie użyć we własnym zakresie i tak ją stosować, aby jak najszerzej urzeczywistniać wytknięte zadania.

Dla rozwiązania powyższych zagadnień również konieczną jest praca myślowa, która ustaliłaby właściwą postawę agraryzmu wobec spółdzielczości.

Podstawowym warunkiem urzeczywistnienia wskazań agraryzmu jest ścisła ocena rzeczywistości. Nie można przeczyć faktowi, że spółdzielczość w dotychczasowym swym nastawieniu i przy dotychczasowych formach wykazuje w Polsce względnie małą dynamikę rozwoju.

Zagadnienia społeczno - gospodarcze są dziś osią zainteresowań wszystkich, to też kierunek, który rozwiąże te zagadnienia, osiągnie najwyższy triumf. Jeżeli więc agraryzm zagadnienia społeczno-gospodarcze pragnie rozwiązać przez spółdzielczość — musi przeniknąć zasady działania spółdzielczości i dążyć do takiego jej nastawienia, aby wzmogła ona dynamikę swego działania i aby formy pracy spółdzielczej przenikały do wszystkich tych procesów gospodarczych, które w myśl wskazań agraryzmu powinny być oparte na zasadach spółdzielczych.

Zainteresowanie się agraryzmu spółdzielczością musi być przeprowadzone w takim napięciu, aby doprowadziło do pogłębienia ideologii ruchu spółdzielczego oraz do podniesienia sprawności gospodarczej wszystkich placówek spółdzielczych.

Agraryzm przejawia ambicje rozwiązania spraw wszystkich warstw, których byt ekonomiczny oparty jest na przewadze interesów pracy nad względami posiadania. Konsekwentnie z tego wynika, że program agraryzmu może być zrealizowany tylko przy współdziałaniu wszystkich tych zainteresowanych warstw.

Aby jednak pozyskać współdziałanie wszystkich warstw pracujących i objąć je jednolitym frontem, nie wystarczy gołosłowne wyjawianie sympatii. Trzeba ze stanowiska całości koncepcji agraryzmu oświetlić interesy ekonomiczne i społeczne każdej z tych warstw i organizować je w kierunku obrony tych interesów.

Stan rzeczy zwykle tak się układa, że poszczególne warstwy społeczne, gdy pozostają w stanie dezorganizacji, niezdolne są do uświadomienia istoty swoich interesów ekonomicznych, przyjmują światopogląd, który narzucają im inne środowiska, nieraz o całkiem odmiennej strukturze społecznej i przeciwnych interesach. Takie agresywne środowiska własnym interesom podporządkowują sprawy zdezorganizowanych mas.

Wymowne potwierdzenie takiego zjawiska mamy w stosunku warstw rzemieślniczych do kapitalizmu. Z układu realnych faktów wynika, że interesy rzemieślników i przedsiębiorców kapitalistycznych są wręcz przeciwne: w miarę rozbudowy wielkich fabryk kapitaliści rujnowali warsztaty rzemieślnicze i ich właścicieli zamieniali w proletariuszy. Mimo to kapitaliści sferom rzemieślniczym zdołali całkowicie narzucić własną ideologię i uczynili z nich gorliwych obrońców swego porządku przeciwko ideologii socjalistycznej. Winien temu wiele i socjalizm, który nie umiał

właściwie oświetlić warstwom rzemieślniczym ich pozycji i ich interesów.

Opanowanie stanu rzemieślniczego przez ideologię kapitalistyczną poszło tak daleko, że rzemieślnicy zupełnie zaniedbali własne sprawy i nie zdołali wytworzyć żadnej potężniejszej organizacji, która byłaby rzecznikiem wyłącznie ich interesów.

Agraryzm wówczas tylko będzie mógł spełnić swoją rolę rzecznika warstw, które byt swój opierają na pracy, jeżeli z punktu widzenia swej koncepcji należycie oświetli interesy ekonomiczne i społeczne tych warstw oraz uwydatni drogi, po jakich należy postępować dla obrony tych interesów. Jest to również wielkie pole dla pracy myślowej, której odwlekać nie należy.

O rozwoju każdego kierunku społecznego w pierwszym względzie decyduje atrakcyjność jego koncepcyj oraz stopień, w jakim odpowiadają one najżywotniejszym potrzebom mas.

Lecz samo apostolstwo myśli ma charakter bierny: wzbudza uznanie, lecz nie wyzwala potrzeby działania.

Aby wzbudzić czynną postawę mas wobec pewnych zadań i wskazań, trzeba rozwinąć systematyczną propagandę, opartą na właściwych ogniwach organizacyjnych.

Agraryzm w dotychczasowej postaci jest tylko koncepcją myślową, a nie kierunkiem społecznym, gdyż nie ma ustalonych metod propagandy własnych wskazań i brak mu wytycznych, jak mają być stworzone ogniwa organizacyjne tej propagandy.

Drogą pracy myślowej, rozwijanej na podstawie doświadczeń czynu, trzeba przystąpić do ustalenia metod i wyboru środków propagandy.

Józef Korpała

Naród a państwo

Na marginesie książki Olgierda Górki (III.)

III. Główną treść książki prof. Górki stanowi „teoria nieodwracalności interesów państwa i narodu". Istotą tej teorii jest pogląd, że interes państwa leży zawsze w interesie narodu, natomiast nadrzędność interesu narodu może być szkodliwa dla państwa.

Teorię swą uzasadnia prof. Górka mnóstwem przykładów zarówno z przeszłości, jak i współczesności. Niestety rodzaj tych przykładów, niezbyt szczęśliwie dobranych, raczej zaciemnia, niż wyjaśnia sam tok wywodu autora.

Dla ilustracji poglądów prof. Górki przytoczymy ustęp, w którym stosuje on swą teorię nieodwracalności interesów w odniesieniu do wielkiego zagadnienia oświaty powszechnej. „*Oczywiście* — pisze Górka— *w interesie narodowym polskim leży, by wszyscy ci, którzy uważają się za Polaków, albo chcą się chociażby do tej polskości zbliżyć i upodobnić kulturalnie, mieli możność kształcenia się i to w możliwie szerokim zakresie. Co więcej jasnym jest, że w interesie tego narodu polskiego leży, żeby obywatele o wspólnocie polskiej górowali umiejętnością czytania, pisania i poziomem intelektualnym nad obywatelami z innej wspólnoty narodowej, ponieważ wtenczas tamci mniej będą zdolni do konkurencji polityeznej i ekonomicznej. Jest to prawda bardzo brutalna, ale* — pisze Górka — *bardzo prosta i bardzo oczywista. Tymczasem w interesie Państwa Polskiego leży tendencja wręcz przeciwna, a mianowicie, aby wśród przynależnej do niego ludności zniknął analfabetyzm wogóle, aby zarówno przy pracy w polu, jak w służbie w wojsku, dysponować materiałem inteligentnym, umiejącym czytać i pisać, który ma dążenia i umie podciągnąć swój standart życiowy do góry*".

Oto w porównaniu autora typowy przykład szkicowo nakreślonej kolizji między interesem państwowym, a interesem narodowym. Na przykładzie tym łatwo dostrzec błędy rozumowania prof. Górki i wątłość jego teorii.

Bo i jakże to! Czyżby rzeczywiście w interesie narodu polskiego leżało, żeby obywatele z innej wspólnoty narodowej byli „ciemni jak tabaka w rogu", żeby byli biernym narzędziem w ręku demagogów i agitatorów, podobnie jak chłop polski w roku 1846? Chyba to zbyt prymitywnie pojęty interes narodowy!

A teraz spojrzyjmy na to zagadnienie od strony interesu państwa. Autor podkreśla, że w interesie państwa leży tendencja wręcz przeciwna. Wydaje się nam, że taka przeciwstawność znowu jest wielkim uproszczeniem. Państwu zależy na materiale nie tyle oświeconym (w ścisłym tego słowa znaczeniu), co dobrze (odpowiednio) wychowanym A to różnica. W obu zaś wypadkach, zarówno w interesie narodu, jak i w interesie państwa leży, aby wszyscy obywatele byli wychowani dla państwa, bo państwo musi dysponować materiałem nie tylko inteligentnym, umiejącym czytać i pisać, ale także rozumiejącym sens pracy właśnie w ramach Państwa Polskiego.

Zastanawiając się nad tą częścią książki, którą autor poświęcił uzasadnieniu szkodliwości nadrzędności interesów narodu jako właściciela, dochodzimy do przekonania, że prof. Górka przesadnie sugerował się doświadczeniami przeszłości i z góry założył, że interes narodu będzie miał wyraz nie tylko brutalny, ale także głupi i absurdalny, jak tego mieliśmy przykłady w przeszłości.

Jak złudne nadzieje wiąże autor ze swą teorią, która ma być rozwiązaniem kwadratury zaklętego koła, świadczy jego przekonanie, że dopiero przy pomocy tej jego teorii „*zrozumiemy cały mechanizm tego bezwzględnie prawdziwego reflektora, jakim był geniusz Józefa Piłsudskiego, który nie uznawał odruchowo teoretyzowania o państwie i narodzie, który zawsze uchylał się od formułowania programów i zasad teoretycznych, a niemniej z przerażającą wprost jaskrawością widział, jakim jest rzeczywisty stosunek między narodem a państwem*".

Stosunkowo dużo miejsca poświęca Górka sprawom mniejszości narodowych. Zgadzamy się z autorem, że najważniejszym zagadnieniem narodowościowym jest niewątpliwie sprawa ukraińska. Natomiast nie podzielamy jego poglądu w sprawie żydowskiej. Przyznajemy prof. Górce, że *nie można mówić o jakiejś preponderacji żydowskiego elementu w polskim intelekcie i kulturze*", że element pochodzenia żydowskiego odgrywał i odgrywa wybitniejszą rolę jedynie na terenie dziennikarstwa, ale musimy podkreślić, że wpływy żydowskie w kulturze polskiej są naogół nawskroś destrukcyjne. W rezultacie autor dochodzi również do tego jedynego dzisiaj wniosku, że rozwiązanie sprawy żydowskiej w Polsce leży na linii wzmożenia emigracji żydowskiej.

Czytelnik, którego nie odstraszy objętość książki Górki, napotka w niej ustępy niewątpliwie interesujące obok szeregu wywodów, zgoła nieoczekiwanych. Widać po prostu, że autor pisał ją od ręki, powtarzając zasadnicze tezy w rozmaitych wariantach. Dość niespodziewanie wyznaje autor na końcu książki, że podstawa całego jego rozumowania o narodzie i państwie jest zdecydowanie i wyłącznie narodowa, t. j. ujmowana pod kątem realizacji celów narodu polskiego. I dlatego uważa za konieczne ustalić, co należy uważać za zły, a co za dobry nacjonalizm.

Łatwo się domyślić, że w rozumieniu Górki „*nacjonalizmem złym, czyli destruktywnym, jest podporządkowanie interesów państwa interesom i potrzebom narodu, jako jego właściciela, natomiast nacjonalizmem dodatnim, konstruktywnym, będzie podporządkowanie wszelkiego rodzaju interesów, łącznie z narodowymi, potrzebom i nakazom swego własnego narodowego państwa, jakim jest Polska.*"

Ile w takim ujęciu problematu tkwi uproszczeń, łatwo dostrzeże każdy czytelnik. Bo jakże to? Czyż istotne potrzeby narodu mogą być sprzeczne z potrzebami własnego narodowego państwa? Chyba tylko potrzeby źle pojęte lub potrzeby wyznaczone przez ludzi głupich, nie rozumiejących, że najważniejszą potrzebą narodu jest rozwój i potęga państwa.

W gruncie rzeczy książka Górki jest właściwie niczym innym, jak tylko próbą sprostowania błędnych ścieżek destruktywnego nacjonalizmu. Naczelnego problematu, jaki sobie autor postawił, książka ta nie rozwiązuje i rozwiązać nie może, bo w istocie problemat ten postawiony został fałszywie, co się mści na dalszych wywodach. Stosunku narodu i państwa nie da się ująć w jakiś mechanizm niezawodnie działający w myśl teorii wykoncypowanej przez autora. W ramach tej teorii stosunek ten będzie zawsze niejako nieustanną walką między narodem, kierującym się uczuciem, i państwem, które musi tę dynamikę sił narodowych racjonalnie zużytkować.

Rozwiązania problematu stosunku narodu do państwa można i należy szukać jedynie na gruncie praktyki i przyzwyczajeń.

Chodzi o to, aby obywatela bezpośrednio zbliżyć do państwa tak, by poczuł się osobiście odpowiedzialny za los i byt państwa, żeby każda jego myśl o własnym gospodarstwie przeniknięta była świadomością obywatelską. Stosunku tego nie można ułożyć w samej tylko sferze najlogiczniejszego nawet rozumowania.

Książkę Górki zamykamy z uczuciem pewnego zawodu. Łatwość pióra i wysłowienia zawiodła autora na nazbyt powikłane drogi rozumowania. W powodzi słów istotną treść trzeba nieraz z trudem wyławiać z głębokich toni. Z tym wszystkim jednak książka zasługuje na przeczytanie, bo temat jej musi żywo interesować każdego Polaka przenikniętego troską o byt i rozwój Państwa Polskiego.

Roman Piotrowicz

Libijski eksperyment Italii (II.)

Zagadnienia kolonizacyjne i osiedleńcze

Libijskie poczynania kolonizacyjne Italii ulegały rozmaitym wahaniom w ciągu dwudziestopięcioletniego italskiego władania tą kolonią. Wahania te i przerwy w kolonizacyjnej działalności znajdywały jednak swe wytłumaczenie w ogólnej sytuacji międzynarodowej jak i w sytuacji populacyjnej i gospodarczej samej Italii. Do czynników hamujących rozwój tej działalności zaliczyć należy również brak własnych dostatecznych kapitałów, a w okresie początkowym kolonizacji także i dostatecznego doświadczenia, nabywanego stopniowo i powoli w miarę właściwego badania naturalnych warunków Libii. Okres wojenny i dziesięciolecie powojenne zapełnione walkami ze zbuntowanymi plemionami, nie przyczyniły się również do natężenia tej działalności. Dopiero po ostatecznym spacyfikowaniu kraju dokonanym w 1932 roku, stworzono warunki, umożliwiające poświęcenie temu zagadnieniu całej uwagi metropolitalnych i kolonialnych władz, przy czym zainteresowanie dla tej sprawy spotęgowało się szczególnie od daty zarysowywania się międzynarodowego konfliktu na Śródziemnomorzu.

Rozpoczynając swoją kolonizacyjną działalność w Libii, Italia z konieczności zmuszona była korzystać z doświadczeń innych kolonizatorskich narodów, nie dysponowała bowiem jeszcze wówczas dostatecznie szerokimi możliwościami wypróbowania własnych metod, opartych tak na właściwościach narodu, jak i na jego specjalnych i dużych zasobach populacyjnych. Dlatego też w tych pierwszych swych próbach opierała ona gospodarstwo kolonizacyjne Libii na założeniach eksploatacji rozległych przedsiębiorstw plantacyjnych, oddawanych przez państwo osobom prywatnym, bądź na warunkach długoletnich koncesji, bądź odstępowanych im tytułem własności. We wszystkich tych wypadkach, jako jedyny warunek zachowania koncesji lub tytułu własności, zobowiązywała ona koncesjonarjuszy i właścicieli do zagospodarowania określonej części odstępowanych im terenów, zirygowania pewnej ilości hektarów, oraz postawienia na nich koniecznych urządzeń gospodarczych.

Nieznaczne gospodarcze wyniki tej pierwszej próby zmuszają do poddania gruntownej rewizji zapożyczonych od obcych form kolonizacyjnych. Do tejże rewizji przynaglają również pogarszające się wciąż międzynarodowe stosunki migracyjne, zatrzymujące masy włoskich „dynamicznych" emigrantów-pracowników na ziemi ojczystej, oraz nowe tendencje faszystowskiej polityki wewnętrznej, zmierzającej do zatrzymania i zatrudnienia maksymalnych ilości tych pracowników we własnych granicach politycznych. Stąd też ustawodawstwo z 1928 roku nadaje całkowicie nowy kierunek włoskim kolonizacyjnym poczynaniom w Libii. Dawny system gospodarki latyfundialnej, obliczony na uprzemysłowienie produkcji rolnej, a zupełnie nie biorący pod uwagę czynika ludnościowego, w nowym ustawodawstwie został zastąpiony systemem o wyraźnych demograficznych tendencjach kolonizacyjnych. Nowe to ustawodawstwo kolonialne zmierza do zorganizowania ścisłej współpracy elementu pracowniczego z inwestowanym w gospodarstwie kolonialnym kapitałem przedsiębiorczym, oraz do umożliwienia przyszłego podziału pomiędzy nimi zwaloryzowanych ziem Libii na równych zasadach własności.

Przystępując do nowego wysiłku kolonizacyjnego i chcąc mu zapewnić możliwie najbardziej dodatnie rezultaty, rządy kolonialne zmuszone zostały do zwiększenia państwowych terytorialnych rezerw kolonizacyjnych i zdobycia tym samym poważnego czynnika interwencji w działanie prywatnych kolonizatorów. Ustanawiając zasadę, że ziemie nieuprawiane tworzą domniemaną własność państwa, za wyjątkiem dowodu przeciwnego, nowe ustawodawstwo kolonialne oddało też w ręce władz pokaźne przestrzenie terenów, mniej lub więcej nadających się do celów kolonizacyjnych, oraz umożliwiło stałe ich powiększanie drogą systematycznie przeprowadzanego wykupu. Uzbrojone w ten nowy i znaczny stan terenowego posiadania, państwo nabyło obecnie pewność ścisłego i szerokiego przeprowadzenia postanowień dekretu kolonizacyjnego z 1928 roku, wyraźnie mówiącego, że tereny państwowe Tripolitanii i Cyrenaiki przeznaczone są do zagospodarowania rolniczego drogą możliwie najbardziej intensywnego osiedlania na nich rodzin obywateli włoskich. Licząc się jednak z koniecznościami maksymalnych wyzyskań wszelkich możliwości Libii, postanowienia te dozwalają także i na rolniczo-przemysłową i pasterską waloryzację tych ziem, jednak tylko w okręgach, uniemożliwiających kolonizację osiedleńczą.

Przyjmując w nowym ustawodawstwie z 1928 i 1929 te szerokie zasady demograficzne, samo państwo nie decyduje się jeszcze jednak na bezpośrednią działalność osiedleńczą. Wychodzi bowiem jeszcze z założeń, że sprowadzeni z metropolii rolnicy, których angażowanie do pracy na plantacjach nowe ustawodawstwo stawia jako obowiązek koncesjonariuszy i właścicieli, tworzą najbardziej właściwy i podstawowy element przyszłych mas osiedleńczych. Postanowienia dekretu nie pozostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości, ponieważ mówią one wyraźnie, że dla otrzymania koncesji lub tytułu własności koncesjonariusz i właściciele winni zobowiązać się nie tylko do zwaloryzowania tych ziem, lecz również i do zatrudnienia przy tym określonych ilości obywateli włoskich. Dla tym większego zachęcenia właścicieli i koncesjonariuszy do angażowania włoskich pracowników rolnych inny znów dekret, ustanawiający pomoc państwową dla masy czynności, związanych z zagospodarowaniem tych ziem, uzależnia ją:

1) od ilości rodzin kolonistów włoskich, dopuszczonych na te nowe plantacje,

2) od technicznego i ekonomicznego zracjonalizowania gospodarstwa,

3) od właściwości umów pracy lub współudziału, zawartych z tymi kolonistami, oraz

4) od dalszych demograficznych i rolniczych możliwości tego gospodarstwa i jego okręgu.

Artykuł 9 tegoż dekretu jeszcze ściślej określa cele i nastawienia nowych libijskich założeń kolonizacyjnych. Mówi on bowiem wyraźnie, że największą pomoc z tego tytułu dostaną koncesjonariusze i właściciele, którzy w racjonalnych granicach określonych technicznymi i ekonomicznymi właściwościami danego rejonu, potrafią rozdrobić ziemię w celu stworzenia z niej maksymalnej ilości małych warsztatów rolnych.

Stwarzając te nowe ramy prawne i otwierając szersze możliwości dla demograficznej kolonizacji w Libii postępowanie władz kolonialnych ulega jeszcze dalszej i stopniowej ewolucji. Ustawodawstwo z 1928/29, sprzyjające włoskiej kolonizacji osiedleńczej, ułatwiało ją dla zamożniejszych i bardziej doświadczonych pracowników rolnych, pragnących założenia własnego gospodarstwa, tym samym więc zamierzało osiągnąć cele osiedleńcze pośrednią niejako drogą. Zarządzenia z roku 1932 ustanawiają już środki bardziej bezpośredniego działania, powołują bowiem do życia instytucje, zaopatrzone w kapitały państwowe, komunalne i prywatne, i powierzają im wyraźne zadania tworzenia małych własności rolnych, od 15 do 50 hektarów powierzchni. Mimo akcyjnej formy prawnej i gospodarczych założeń, obliczonych na zwrot poniesionych kosztów kolonizacyjnych oraz nieznacznych nawet procentów od włożonych kapitałów, instytucje te nie posiadają jednak żadnych celów spekulacyjnych. Dla osiągnięcia stawianych im zadań otrzymują one na prawach koncesyjnych rozległe tereny, na których w przeciągu pierwszych dwu lub pięciu lat zobowiązują się do zatrudnienia określonej ilości obywateli włoskich, później zaś— do przekazania każdemu z nich przypadającego mu terytorialnego udziału, odpowiednio zagospodarowanego i przystosowanego do dalszego prowadzenia przez niego samodzielnego gospodarstwa. Koszty samej działki, jak i jej gospodarczego zorganizowania, obciążają oczywiście hipotekę tej nowej własności rolnej i są ściągane w określonych ratach w przeciągu względnie długiego szeregu lat. Chcąc bardziej zainteresować koncesjonariuszy, udostępnia się im niekiedy prawo przekazania koloniście tylko połowy jego teoretycznie obliczonego udziału, oraz zachowania dla siebie drugiej jego połowy, bądź też odstąpienia jej innemu pretendentowi.

Dzieląc ziemie państwowe pomiędzy kolonistów i koncesjonariuszy, oraz wydając zarządzenia ustawodawcze, państwo nie kończy na tym swej działalności ingerencyjnej. W dziedzinie waloryzowania ziem kolonizowanych i w zakresie urządzania osiedli kolonistów ingerencja ta rozszerza jeszcze znacznie swój zakres. W myśl tegoż dekretu we wszystkich nowopowstających ośrodkach kolonizacji władze kolonii pokrywają wydatki, związane z robotami publicznymi, koniecznymi przy urządzaniu ośrodków rolniczych, budowie w nich dróg dojazdowych, poszukiwaniach wodnych i pracach irygacyjnych, osuszaniach rejonów bagnistych, jak również z wszystkim, co okaże się konieczne dla przyśpieszenia osiągnięć kolonizacyjnych. Te wydatki, związane z kolonizacją kolektywną, należy jeszcze powiększyć masą premii i subsydiów, wydawanych indywidualnie koncesjonariuszom i kolonistom za ich wysokie osiągnięcia w rozmaitych dziedzinach rolnej kolonizacyjnej działalności, jak również i w celu ułatwiania im realizowania określonych planów gospodarczych.

Ułatwiając zorganizowanie społecznych i prywatnych kredytów rolnych, tą drogą pośrednią wspomaga państwo jeszcze bardziej kolonizacyjne poczynania obywateli metropolitalnych. Szeroko zorganizowany kredyt rolny znajduje swego głównego dyspozytariusza w Libijskiej Kasie Oszczę-

dności, udzielającej pożyczek na reorganizację gospodarstw plantacyjnych, lub ich rozwój, na przetworzenie ich stanu posiadania, jak również i na bardziej doraźne cele, bezpośrednio związane z prowadzeniem tych gospodarstw. Szereg innych kooperatywnych i społecznych instytucji stawia sobie za zadanie udzielanie najrozmaitszego rodzaju kredytów w naturze. Sama Libijska Kasa Oszczędności udzieliła do końca 1936 roku około 140 milionów lirów pożyczek, rozdanych obywatelom metropolitalnym dla najrozmaitszych celów rolniczych.

Poza państwową ustawodawczą ingerencją i bezpośrednią pomocą finansową, oraz zorganizowanym kredytem w walorach wymiennych i naturze, trzecim podstawowym czynnikiem libijskiej kolonizacji jest niemniej szeroko udzielana pomoc techniczna, w pewnych zaś okolicznościach również i fachowy nadzór nad poczynaniami nowych kolonistów. Sprawa takiej właśnie pomocy nie jest mniej ważką od poprzednio omówionych, zważywszy na całkowicie odrębne niż w Europie naturalne warunki Libii, jak i ciągłe ich zmienności w czasie i przestrzeni. Wspomniana w poprzednim już artykule państwowa działalność doświadczalna i wodna, nie wyczerpuje jeszcze całości tej technicznej pomocy. Rozciąga się bowiem ona, tak na działania kolonistów, zmierzające do ustabilizowania ruchomych piasków przez ich stopniowe zalesianie, przeciw wiatrowe zadrzewienia pól i sadów, jak również głęboko sięga w dziedziny zootechniczne, stawiając sobie za cel polepszenie ras hodowlanych, oraz dobór kategorii, najwłaściwszych dla Libii.

W rezultacie ścisłego zespolenia tych trzech czynników, jak wszechstronna ingerencja państwowa, zorganizowany kredyt i szeroko udzielana pomoc techniczna, libijska kolonizacyjna działalność Italii, napotykająca taką masę trudności, zagospodarowała prawie 167.500 hektarów jałowych ongiś ziem Libii. W całości tych zwaloryzowanych terenów, ponad 65 tysięcy hektarów zostało pokryte sadami, przeważnie oliwkowymi i migdałowymi, oraz winicami, około 10 tysięcy ha uległo zalesieniu, a prawie 2,500 ha zostało zirygowane. W zorganizowanych w ten sposób gospodarstwach europejskiej kolonizacji zbudowano około 5500 domów mieszkalnych i rozmaitych budynków gospodarczych, oraz osiedlono w nich około 1500 rodzin kolonistów metropolitalnych.

ZE SŁOWACKIEGO ŻYCIA POLITYCZNEGO

J. R.

Po uwolnieniu prof. Tuki

„Afera Tuki" był to jeden z najcharakterystyczniejszych epizodów stosunków czesko-słowackich po wojnie. Rok 1929, rok tej afery, to jeden z punktów przełomowych w dziejach tych stosunków. Wypuszczenie na wolność skazanego wówczas działacza przypomina nam obecnie te doniosłe wydarzenia z przed lat 8.

Profesor Tuka był wykładowcą na uniwersytecie bratysławskim, świetnym prawnikiem i równocześnie doskonałym publicystą. Stał on długo na czele redakcji głównego organu autonomistów słowackich, „Slovaka", w pierwszych latach po jego przeniesieniu do Bratysławy, w latach ciężkich i twardych, gdy trzeba było przebojem zdobywać teren bratysławski, gdy trzeba było z bronią w ręku bronić siedziby redakcyjnej przed atakami podburzonego tłumu (jak w maju 1922 r.).

Jak wiadomo w r. 1927, stronnictwo ks. Hlinki, zwycięskie w wyborach 1925 r., weszło do rządu. Prof. Tuka nie należał do przeciwników udziału autonomistów w rządzie. Nie mniej jednak spotykał się on z nietajoną niechęcią czeskich kół kierowniczych, które miały nadzieję, że przez wciągnięcie autonomistów do rządu, zdołają ich zasymilować. Postać Tuki była silną przeszkodą w tych zamiarach. Wszak Tuka był autorem słynnego artykułu p. t. „Vacuum Iuris" w r. 1928, w którym udowadniał, że skoro związek Czechów ze Słowakami opierał się na umowie dwustronnej, nie wypełnienie warunków tej umowy (1918) w ciągu lat dziesięciu, pociąga za sobą *automatyczne* rozwiązanie tego stosunku. Rozumowanie to przyprawiało centralistów praskich o wściekłość. Tymczasem zbliżały się wybory parlamentarne w r. 1929, groziło widmo nowego sukcesu „hlinkowców". W takiej chwili zaaranżowany został słynny proces Tuki, oskarżenie go o zdradę stanu, o zbrodnie rozmaite przeciw całości republiki, zakończony — mimo błahych poszlak — skazaniem go w dniu 5 października 1929 na 15 lat ciężkiego więzienia.

Zaaranżowanie tego procesu przyniosło aranżerom część spodziewanych skutków. Wytworzono sugestię o „madziarofilstwie" hlinkowców, rozbito ich (secesja Jurygi i Tomanka), doprowadzono do zmniejszenia ich stanu posiadania w parlamencie. Były to jednak sukcesy tylko pozorne. Idei, którą zdusić chciano przez skazanie Tuki, nie zniszczono, nie wypleniono jej z serc słowackich. Po przez wydarzenia w łonie Maticy Slovenskej (1932), zjazd „młodej generacji" w Trenczyńskich Cieplicach, zbratanie się z partią pastora Razusa w Zwoleniu— posunęła się naprzód ewolucja myśli politycznej w szeregach słowackich. Dziś nie ma prawie ugrupowania słowackiego, które by kultywowało ideę „narodu czechosłowackiego", lub które by w takiej czy innej formie nie wysuwało hasła autonomii dla Słowacji — co w r. 1929 uważane było niemal za zdradę stanu.

Silna pozycja „autonomistów" pociągnąć za sobą musiała i przypomnienie o losie uwięzionego w praskim więzieniu dawnego naczelnego redaktora „Slovaka". Ośmioletni pobyt w więzieniu nadwyrężył jego zdrowie, osłabił jego wzrok. Już w styczniu tego roku podjął „Slovak" kampanię za uwolnieniem Tuki. W tym czasie odwiedził go w więzieniu obecny redaktor „Slovaka", Sidor, a wkrótce po nim wódz narodowego ruchu słowackiego ks. Hlinka. Potem sprawa przycichła, ale wiedziano, że jest ona przedmiotem rozmów i rokowań. Prof. Tukę odwiedził i sam minister sprawiedliwości, dr. Derer. Wreszcie w dniu 3 czerwca gruchnęła wieść, że prof. Tuka jest na wolności. Nim dzienniki podały o tym wiadomość, był on już wolny. „Wolny" to znaczy zwolniony z więzienia, jednak bez prawa mieszkania na Słowacji, bez prawa zajmowania się sprawami słowackimi. Prof. Tuka ma wyznaczone za miejsce pobytu Pilzno, gdzie ma otrzymać jakieś zajęcie.

Uwolnienie prof. Tuki nie nosi na sobie znamion wydarzenia politycznego i żadnego wpływu na wypadki mieć więc nie może. Ale uwolnienie jego zbiegło się właśnie z 19 rocznicą umowy Pittsbourghskiej. Posypała się garść refleksyj i uwag. „*Słowacja nie będzie rządzona z Pragi, będzie ona rządzić sama swoimi sprawami*" — te słowa nie byle kogo, bo samego Masaryka, w jego mowie w Pittsbourghu 30 maja 1918, przypominane są dzisiaj na każdym kroku, jakby dla skonfrontowania ich z rzeczywistością, jakby dla podkreślenia, że te postulaty, o które walczy Słowacja, nie są przejawem podstępnego zagrożenia całości Republiki, ale są hasłem, mającym za sobą zgodę długoletniego prezydenta Republiki. O aprobacie Masaryka dla tych haseł mówi także i przede wszystkim podpis jego na akcie umowy Pittsbourghskiej, w której wyraźnie jest sformułowane, że Słowacja będzie mieć swoją własną administrację, swój sejm i swoje sądy, a język słowacki będzie językiem urzędowym w szkole, urzędzie i życiu publicznym. Spełnienia tych właśnie postulatów domagają się dzisiaj Słowacy. Uwolnienie prof. Tuki jest niejako symbolicznym przypomnieniem sprawy tych postulatów.

Do czytelników!

Na okres miesięcy letnich, do 1 października r. b., w związku z urlopami Redakcji i współpracowników, „Naród i Państwo" wychodzić będzie — jak to miało miejsce już w ostatnich tygodniach — w odstępach dwutygodniowych w objętości poszczególnych zeszytów zwiększonej do 16 stron.

Mimo to — przy utrzymaniu dotychczasowej ceny prenumeraty w wysokości 1 złoty miesięcznie — „Naród i Państwo" pozostanie w stosunku do swej objętości i treści jednym z najtańszych pism tego rodzaju w Polsce.

Sądzimy, że zmiana powyższa nie odbije się na stosunku czytelników — przyjaciół do pisma. Przy sposobności ponawiamy stałą naszą prośbę o regularne wnoszenie prenumeraty, co jedynie pozwala nam na należyte unormowanie wysokości nakładu i zapewnienia regularności wysyłki.

W jednym z najbliższych numerów naszego pisma rozpoczynamy druk jednego z rozdziałów wspólnej pracy Stanisława Groniowskiego i Tadeusza Katelbacha o dziejach ruchu politycznego młodzieży akademickiej w Warszawie podczas wojny w latach 1915—1920. Rozdział ten, opracowany przez Tadeusza Katelbacha, nosi tytuł: „Pod hasłem walki z okupantem". Odtwarza on etap końcowy walk politycznych ówczesnej młodzieży, poprzedzający przełomową datę 11 listopada 1918 roku.

REDAKCJA

ZAGADNIENIA AKTUALNE

Sprawa podatku komunalnego

Sprawa projektowanego wprowadzenia nowego podatku na rzecz samorządu terytorialnego wywołała wyjątkowo duże poruszenie w parlamencie oraz opinii publicznej. Złożyło się na to wiele przyczyn.

Przede wszystkim powstała kwestia czy z punktu widzenia gospodarczego wprowadzenie nowego podatku jest wskazane, czy rozpoczynający się okres poprawy koniunktury nie zostanie opóźniony przez nowe świadczenia podatkowe i rozpęd koniunktury nie będzie osłabiony tym nowym ciężarem nałożonym na życie gospodarcze.

Drugie wysuwające się zagadnienie — to kwestia sprawiedliwego rozłożenia ciężaru nowego podatku na poszczególne warstwy społeczne, a zatem zagadnienie socjalne, sprawiedliwości społecznej, wiecznie żywe zagadnienie podziału dochodu społecznego.

Trzeci kompleks spraw, to wiążące się z nowym podatkiem kwestie natury polityczno-prestiżowej.

Samorząd terytorialny znajduje się istotnie w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej. Złożyło się na to wiele przyczyn, których nie sposób tu wyliczyć. Pozostaje fakt, że pomimo przeprowadzonej na wielką skalę akcji oddłużeniowej, cały szereg gmin nie posiada dostatecznych środków nie tylko na spłatę obniżonych zadłużeń, ale nawet na najniezbędniejsze remonty, których brak grozić może poważnymi bardzo stratami w niedalekiej przyszłości. Są również gminy, którym brak środków na wszelkie bieżące wydatki, na wypłatę poborów pracowniczych i t. p. Samorząd zatem istotnie jest w wielkiej potrzebie i ma w wielu przypadkach nóż na gardle. Cóż dziwnego, że posiadając na terenie województw zachodnich (gdzie podatek komunalny jest już stosowany) przykład, w jaki sposób pieniądze można dostać, rozpoczął akcję w kierunku „wyrównania" pozostałych województw do poziomu Pomorza, Śląska i Poznańskiego. Zachodzi teraz pytanie, czy moment rozpoczęcia tej akcji był szczęśliwie obrany. Można chyba odpowiedzieć, że z punktu widzenia gospodarczego częściowo tak, częściowo nie, z punktu widzenia politycznego niewątpliwie i wyłącznie — nie.

Jeżeli staniemy na stanowisku przemysłowca, to wbrew olbrzymiej nagonce prowadzonej przez sfery gospodarcze na nowy podatek komunalny, stwierdzić musimy, że przemysł odrzuca dziś bardzo poważne zyski. Jest rzeczą jasną, że skoro ceny produktów na ogół znacznie wzrosły, surowiec w stopniu bezporównania mniejszym, płace zaś pozostały prawie bez zmiany, że skoro szereg gałęzi produkcji pracuje całą parą, — to jest to właśnie moment w którym przedsiębiorca może w pewnym stopniu zwiększyć sumę świadczeń na rzecz społeczeństwa.

Wprost przeciwnie przedstawia się obecnie sytuacja na terenie pracowniczym. Płace nie uległy prawie żadnym zmianom, a w tej grupie, która miałaby podlegać opodatkowaniu (ponad 400 zł.), napewno zmian nie ma, wobec zaś ogólnej zwyżki cen i kosztów utrzymania, płace w realnej swej wartości zostały właściwie poważnie obniżone. W tych warunkach obciążanie warstwy pracowniczej nowym i znacznym podatkiem byłoby gospodarczo błędne i socjalnie niesprawiedliwe.

Jakie zatem wyjście z sytuacji było najbardziej celowe, t. j. zaspakajałoby słuszne potrzeby samorządu i było najbardziej sprawiedliwe, t. j. w najmniejszym stopniu dotykało ludzi „pokrzywdzonych" przez koniunkturę.

Wydaje nam się, że przede wszystkim należało odroczyć termin wprowadzenia w życie podatku komunalnego od uposażeń pracowniczych do chwili zniesienia podatku specjalnego oraz zwiększonego podatku dochodowego od wynagrodzeń. Terminy te powinnyby się w ten sposób zbiegać, aby przy wprowadzeniu nowego podatku komunalnego można już było mieć dane, jakie projekty posiada Minister Skarbu co do zapowiedzianej reformy podatku od wynagrodzeń.

Przypominamy, że opłacane dzisiaj przez warstwę pracowniczą podatki państwowe mają wyraźne znamię opłat „kryzysowych" i miały ulec obniżce w okresie normalnej koniunktury.

Drugim ważnym postulatem z dziedziny sprawiedliwości społecznej, związanym zresztą ściśle ze sprawą omówioną wyżej, byłoby zrównanie w obowiązkach świadczeń na rzecz samorządu zarówno pracowników prywatnych, jak państwowych i samorządowych. Jest to postulat nie wymagający szerokiego uzasadnienia. Wszak w równej mierze pracownik państwowy, samorządowy jak i prywatny korzystają z urządzeń miejskich, jak bruki, szpitale, wodociągi, szkoły i t. d. Nie ma żadnej racji, aby pracownik państwowy czy samorządowy poczuwał się w mniejszym stopniu do świadczeń na rzecz miasta, w którym mieszka, aniżeli pracownik prywatny. Przeciwnie, jest to nie tylko sprawiedliwe ale i pożądane, gdyż fakt ponoszenia opłat na rzecz miasta zainteresuje w większym niż dotychczas stopniu urzędnika sprawami własnej gminy, jej potrzebami i systemem gospodarowania.

Rozszerzenie zasięgu płatników podatku komunalnego na urzędników państwowych i samorządowych umożliwiłoby bardzo znaczne obniżenie projektowanej stawki podatku oraz podniesienie maksimum wolnego od podatku uposażenia do 500 zł. miesięcznie. Poza tym nie bez znaczenia socjalnego i gospodarczego byłoby również zastosowanie systemu progresji stawki wobec wyższych płac.

Nałożenie już dziś podatku komunalnego na sfery gospodarcze mogłoby być ekonomicznie dopuszczalne i socjalnie sprawiedliwe. Nie należy zapominać o tym, że dzisiejsze budżety gmin miejskich łatane są w dużym stopniu przez wygórowane opłaty za świadczenia instalacji użyteczności publicznej. Polityka taryfowa miast zmierza do jak najlepszego wyeksploatowania zakładów miejskich, tak jak by to były zwyczajne przedsiębiorstwa handlowe, korzystające ponadto z przywilejów monopolu. W opłatach za tramwaje, wodę, gaz, elektryczność i t. p. mieszczą się ukryte pośrednie podatki komunalne, o tyle niesprawiedliwe, że uderzające w równym stopniu biednego jak i zamożnego konsumenta. Czas byłby dochody miast oprzeć na innej płaszczyźnie, aby zakłady użyteczności publicznej mogły służyć rzeczywiście właśnemu celowi, to jest celowi zaspakajaniu potrzeb obywateli miasta i opierały się w swej kalkulacji na zasadach samowystarczalności, a nie były przede wszystkim źródłem do ściągania pośrednich podatków.

O politycznej stronie całej sprawy możnaby dużo bardzo napisać. Ograniczymy się do kilku uwag.

Radość wielką w Kurierze Polskim wywołał fakt solidarnego odrzucenia projektu ustawy zarówno przez sfery gospodarcze, jak i reprezentacje pracownicze. Prasa prawicowa, inspirowana wyraźnie przez najbardziej zaniepokojone sfery gospodarcze, wyzyskała zręcznie opozycję ruchu pracowniczego, wysuwając na czoło polemiki interesy tej warstwy, podczas gdy właśnie w tym zakresie najłatwiej możnaby dojść do uczciwego porozumienia, opartego na zrozumieniu zarówno interesów świata pracy, jak i interesów samorządu.

Lecz jest jeszcze jedna strona zagadnienia. Trzeba sobie zdać sprawę jeszcze i z tego faktu, że nowy podatek komunalny, który miałby dotyczyć pracowników zarabiających ponad 400 czy 500 złotych, z natury rzeczy dotknąłby w olbrzymiej większości tych tylko, którzy zamieszkują na terenie największych miast, a więc Warszawy i Łodzi. W województwach zachodnich podatek już obowiązuje, w mniejszych natomiast miastach prowincjonalnych pozostałych województw można na palcach policzyć takich szczęśliwców, którzy zarabiają np. ponad 500 złotych miesięcznie. A zatem podatek płaciliby pracownicy przede wszystkim Warszawy i Łodzi, 2-ch miast rządzonych komisarycznie. I tutaj dochodzimy również do jednego z motywów niechęci w stosunku do projektowanego podatku.

Powodzenie wielu bardzo przedsięwzięć politycznych wielkich i małych zależy nie tylko od treści zamierzonego działania, ale również od metod i umiejętności postępowania. Chodzi o takt oraz o dobry i właściwy sposób postawienia sprawy. Nie można zbytnio lekceważyć warunków działania, chociażby nawet miało się przekonanie o swojej wyjątkowej pozycji i wyjątkowych walorach.

W związku z tym na zakończenie możnaby przypomnieć znaną przed paru laty anegdotę. Było trzech braci. Bartek i Wojtek nie mieli w życiu wielkiego powodzenia. Kuba natomiast był to chłop mocny i przebojowy i budził zazdrość braci. Byli oni uczciwi, ale ubodzy i doszli do wniosku, że Kuba pokrzywdził ich przy podziale spadku, gdyż wziął sobie cały rozum, nic im wzamian nie pozostawiając. Nie namyślając się wiele, wnieśli skargę na Kubę do wysokiego sądu, domagając się z tego tytułu poważnego odszkodowania. Kuba się trochę gniewał na braci, ale w gruncie rzeczy był z tej skargi dumny. Niestety — sąd skargę oddalił, orzekając, że przedmiot sporu nie przedstawia dostatecznej wartości materialnej.

Bowiem nie można być nazbyt pewnym sukcesu, gdy pewność ta wypływa przede wszystkim z poczucia względnej przewagi własnych walorów w stosunku do nisko cenionych walorów współobywateli.

L.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

»Front Wolności«

(z. d.) Czwartego czerwca minął rok, jak we Francji został utworzony rząd Frontu Ludowego. Ten rok miniony wykazał m. in., że rząd Bluma nie posiada na terenie parlamentarnym skutecznej opozycji. Z tego faktu można było wyciągnąć wniosek, że czynniki, które nie są zadowolone z rządów Frontu Ludowego, nie są zdolne do solidarnej i twórczej kontrakcji. Można było dalej wnioskować, że wszystko, co we Francji jest zdolne do życia, walki i zwycięstwa politycznego, skartelizowało się we Froncie Ludowym.

Niemałą więc sensację budzą próby zorganizowania we Francji zwartej organizacji opozycyjnej, która przeciwstawiłaby się Frontowi Ludowemu. Ma to być „Front Wolności", a jądrem tego ugrupowania pp. Doriot i de la Roque. Wybór nazwy rzuca już promień światła na sylwetkę polityczną powstającego ugrupowania. Jeśli sobie przypomnimy, że Doriot nazwał francuską partię komunistyczną „armią rosyjską na ziemi francuskiej", to łatwo się domyśleć, że chodzi tu o oswobodzenie Francji od tej „armii", czyli, praktycznie rzecz biorąc — chodzi o oswobodzenie Francji od wpływów kominternowskich. To w pierwszym rzędzie. Nowe ugrupowanie pragnie również uwolnić Francję od dyktatury mas, które przez sabotaże i demonstracje starają się zdobyć pod przywództwem komunistów i p. Jouhaux bezpośredni wpływ na politykę państwową.

Natomiast „Front Wolności" nie jest opozycją przeciwko idei konsolidacji żywiołów, które dążą do postępu socjalnego, a więc idei Frontu Ludowego. Naodwrót, „Front Wolności" rzuca hasło postępu społecznego. „Jeśli jakiś Front Wolności — oświadczył np. de la Roque — miałby prowadzić do tego, aby zdusić dążność młodej generacji i kraju do stosunków, odpowiadających nowym warunkom naszej epoki, to nie tylko byłby niepożyteczny, ale nawet szkodliwy... Nie widzę możliwości utworzenia trwałego frontu przeciwko komunizmowi, jeśli się nie zatroszczymy nasamprzód, aby dokonane już postępy i zdobycze, osiągnięte przez świat robotniczy, nie tylko zostały zachowane, ale rozszerzone w wielkiej mierze na chłopstwo i tak zwany stan średni". Jasne więc jest, że w powstającym we Francji „Froncie Wolności" nic nie ma reakcyjnego, że kartelowi „lewicowemu" nie przeciwstawia się „prawicowy". Nie bez uczucia dumy może więc powiedzieć sobie Blum w pierwszą rocznicę objęcia steru rządu, że jego sztandarowe rezultaty: tydzień czterdziestogodzinny, płatne urlopy i przymusowy arbitraż — są już na gruncie doktrynalnym nie do zwalczenia.

Ideą Frontu Wolności jest naodwrót przejęcie w swe ręce inicjatywy postępu społecznego, inicjatywy, która dotychczas spoczywała w rękach Frontu Ludowego. Doriot i de la Roque stają na stanowisku, że Front Ludowy realizuje postęp społeczny wadliwie i że wadliwa realizacja postępu prowadzi kraj do ruiny. Obserwujemy więc zjawisko, przypominające pod wieloma względami budzenie się w Niemczech ruchu narodowo-socjalistycznego. Trzeba mieć jednak nadzieję — i... życzyć Francuzom! — aby nowy „front" był i pozostał frontem wolności, aby, jednym słowem, nie okazał się nowym wydaniem faszyzmu.

Hiszpania a »pakt czterech«

(z. d.) Atak bombowy na niemiecki pancernik „Deutschland", dokonany przez samoloty rządu walenckiego, nasuwa dwojakie refleksje. Przede wszystkim warto się zastanowić nad znakiem zapytania, pokrywającym genezę tego niespodziewanego zdarzenia. Londyński *New Chronicle* wysuwa hypotezę, że samoloty hiszpańskie, przelatując nad portem Ibiza u wybrzeży Mallorki i widząc okręt wojenny, mogły sądzić, iż jest to powstańczy krążownik „Baleares". Pomyłka taka technicznie rzecz biorąc nie jest wykluczona. Ze znacznej wysokości okręty wojenne przedstawiają się lotnikom tak małe, jak pudełko od zapałek. Atak bombowy, dokonany był lotem ślizgowym, w którym samolot zbliża się do celu tak szybko, że lotnik, cały skupiony w oczekiwaniu ułamka sekundy w którym ma rzucić bombę, nie jest w stanie dalej obserwować celu i rozpoznać z mniejszej wysokości ewentualną pomyłkę. Ta pomyłka w wypadku *Deutschland* byłaby usprawiedliwiona tym jeszcze, że Ibiza nie leży w sferze kontrolowanej z ramienia komitetu nieinterwencji przez flotę niemiecką, tylko francuską. *Deutschland* w chwili, kiedy był zaatakowany, pompował ropę z okrętu — tanku. Samoloty hiszpańskie musiały to widzieć i to właśnie mogło je skłonić do przypuszczenia, że mają pod sobą okręt hiszpański. Francuski okręt należący do kontroli nieinterwencji w tym rejonie zaopatrywałby się w ropę w jakiejś bazie francuskiej. Wiadomo zaś, że Niemcy założyli sobie bazę morską w porcie Melilla u wybrzeży rifeńskich. Nie było więc istotnie zrozumiałej przyczyny, dla której pancernik niemiecki miał się nagle znaleźć na redzie na Balearach, w rejonie kontrolnym francuskim.

Takie tłomaczenie incydentu posiada jednak w opinii międzynarodowej mało zwolenników. Przeważa przekonanie, że bomby, rzucone przez „czerwonych" lotników hiszpańskich na pancernik niemiecki, były rzucone celowo i skierowane w istocie na grunt możliwego porozumienia między mocarstwami zachodnimi. Rząd z Walencji mógł żywić obawy — nota bene słuszne! — że mocarstwa dojdą do porozumienia ogólnego kosztem właśnie Hiszpanii. W każdym zaś razie wiadomo, że nikt poza Sowietami nie pragnie definitywnego zwycięstwa Hiszpanii „rządowej"; podobnie, jak tylko Niemcy i Włochy pragną zwycięstwa powstańców. Rząd w Walencji wyczuwa, że Anglia i Francja sterują nawę polityki europejskiej ku rozwiązaniu kompromisowemu, w którym zarówno nie ostałyby się przy władzy w Hiszpanii czynniki oddane Niemcom i Włochom, jak i czynniki rewolucji socjalnej, zbliżone do Trzeciej Międzynarodówki. Rząd w Walencji miał więc powody wytworzyć sytuację, w której porozumienie między Anglią i Francją a Włochami i Niemcami byłoby niezmiernie trudne, czy wręcz niemożliwe. Mógł więc chcieć dokonać napaści na niemiecki okręt wojenny, w przekonaniu, że wywoła to być może nawet daleko idącą zbrojną interwencję Niemiec, a tym samym i jakąś kontrakcję francusko-angielską. Prasa i koła oficjalne niemieckie i włoskie oraz część opinii w innych krajach poszły w swej interpretacji incydentu z *Deutschland* jeszcze dalej. Przypisuje się ten incydent Sowietom. Wedle relacji francuskiego tygodnika *Gringoire* ma się znajdować w obozie rządowym w Hiszpanii eskadra czysto sowiecka, podległa jedynie sztabowi moskiewskiemu. Ta właśnie eskadra miała dokonać nalotu na Ibizę i zaatakować rozmyślnie pancernik niemiecki. Chodziłoby Sowietom w takim razie o wywołanie komplikacji, która, rozjątrzona następnie przez dyplomację sowiecką, spowodowałyby wojnę europejską. W ten sposób Sowiety osiągnęłyby cel, którego nie zdołały osiągnąć w grudniu ub. roku, kiedy to komuniści francuscy urządzali gwałtowne demonstracje celem zmuszenia rządu Frontu Ludowego do zaniechania polityki nieinterwencji i poparcia Hiszpanii czerwonej przez wysyłkę materiału wojennego, a nawet i wojska regularnego, taksamo, jak to czyniły wówczas Włochy i Niemcy.

Przechodząc skolei do następstw bombardowania pancernika „Deutschland" trzeba zauważyć, że wykazały one iż cztery mocarstwa zachodnie zdradzają obecnie istotną chęć dojścia do jakiegoś ogólnego i zasadniczego porozumienia. W związku z tym paryski dziennik *Instransigeant* wyraził obawę, czy incydenty hiszpańskie nie stanowią gruntu, na którym może odrosnąć idea „paktu czterech". Istotnie, załatwienie sprawy hiszpańskiej drogą porozumienia mocarstw zachodnich było by w ręku zwolenników „paktu czterech" trudnym do zwalczenia argumentem na to, że jedynie ścisła współpraca wielkich mocarstw w formie utworzenia jakiejś „instancji" międzynarodowej gwarantuje pokojowe załatwienie konfliktów. Faktem jest, że mocarstwa narzuciły obu walczącym obozom hiszpańskim, a więc i hiszpańskiemu rządowi legalnemu swą kontrolę, która, choć jest tylko obserwacją, dokonywaną poza zasięgiem suwerenności hiszpańskiej, ma pełny charakter solidarnej interwencji w sprawy hiszpańskie. Stanowi ona bezprzecznie precedens, który może w przyszłości kusić do wskrzeszenia pogrzebanego paktu poczwórnego.

Węgry i Mała Ententa

(z. d.) Wizyta włoskiej pary królewskiej w Budapeszcie zaktualizowała zagadnienia basenu Dunaju. Monarchom włoskim towarzyszył min. Ciano i przy tej okazji miały miejsce w stolicy Węgier rozmowy na temat polityki zagranicznej obu państw. Włochy, jak wiadomo, pracują nad zbliżeniem Węgier do Jugosławii i Rumunii. W planach włoskich leży również osamotnienie Czechosłowacji celem wyrwania jej z orbity polityki francusko-sowieckiej. Los planów włoskich nad Dunajem uzależniony jest więc w dużym stopniu od stosunku Węgier do Małej Ententy i zwartości tego bloku.

Stosunek Węgier do Małej Ententy, który w założeniu swym musi być negatywny, nie ulega ewolucji. W expose, jakie wygłosił 27 maja w izbie posłów w Budapeszcie minister spraw zagranicznych Kanya, ujawniło się że szanse na zbliżenie Węgier do Małej Ententy są nikłe. Minister Kanya oświadczył również, że „błędem byłoby cieszyć się na myśl iż całkowity rozłam Małej Ententy jest nieuniknniony i stanowi tylko kwestię czasu. Porozumienie państw Małej Ententy w sprawach węgierskich jest nawet dziś nienaruszone. Znajduje to wyraz w konwencjach wojskowych, istniejących w niezmienionej postaci od lat 10". Ze słów tych i okoliczności, w jakich wypadło expose węgierskiego ministra spraw zagranicznych można wyczuć, że plany włoskie odnośnie basenu Dunaju rozbijają się głównie o niezachwianą jedność Małej Ententy. Dwaj jej członkowie—Jugosławia i Rumunia—nie chcą ryzykować regulowania stosunków z Węgrami drogą umów bilateralnych, gdyż oddało by to może ich stosunki z Węgrami pod arbitraż Włoch.

Z drugiej znów strony na temat stosunku Węgier do Małej Ententy zabrał głos ostatnio półurzędowy *Pester Lloyd*. Dziennik budapeszteński streszcza stanowisko Włoch w trzech następujących punktach: „1) Uznanie suwerenności Węgier w zakresie zbrojeń nie przedstawia dla Węgier żadnej wartości praktycznej, bowiem Węgry już od lat starają się o to, aby ich siła obronna nie została zaniedbana i cały świat dokładnie sobie z tego zdaje sprawę, 2) Zawarcie paktów niaegresji, w których Węgry musiałyby gwarantować całość terytorialną państw Małej Ententy, bezwględnie nie wchodzi dla nas w rachubę, bowiem tym samym oficjalnie uznalibyśmy słuszność wydarcia nam dwóch trzecich naszego kraju, 3) Wreszcie w sprawie lepszego traktowania mniejszości węgierskich każdy kto mniej więcej zna to zagadnienie wie, że przedstawia się ono bez-

nadziejnie". A więc z jednej strony stwierdza się w Budapeszcie niezachwianą jedność Małej Ententy, a z drugiej — podkreśla się nieprzejednanie negatywny do niej stosunek. W sytuacji takiej dunajskie plany Włoch nie mogą być łatwo urzeczywistnione.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Możliwości współpracy gospodarczej między Włochami a III Rzeszą

(s) W ostatnim numerze „L'Europe Nouvelle" zamieszczony został pod tym tytułem artykuł, którego ciekawsze wyjątki przytaczamy poniżej.

Współpraca gospodarcza między III. Rzeszą a Włochami została podjęta w celu podkreślenia realności, jaką z punktu widzenia politycznego przedstawia oś Rzym-Berlin. Już w jesieni ubiegłego roku sfery przemysłowe niemieckie zwiedziły najbardziej reprezentacyjne przedsiębiorstwa nowoczesnych Włoch, a niedawno wróciła z Niemiec specjalna delegacja włoska, bawiąca w III. Rzeszy dla zapoznania się z wynikami autarchicznego systemu gospodarowania. Nie bez znaczenia też dla spraw gospodarczych był ostatni pobyt barona von Neuratha w Rzymie, jakkolwiek charakter wizyty był przede wszystkim polityczny. Wizyta ta pozwoliła wyczuć chęć udzielenia sobie wzajemnej pomocy przez obie gospodarki autarchiczne. Jest rzeczą co najmniej trudną zrozumieć sens tych słów. Dotychczas autarchia była przecież synonimem ekskluzywizmu, W jakiż więc sposób miałaby się stać podstawą współpracy?

*

Aż nazbyt często mówi się o podobieństwie systemów politycznych i gospodarczych Niemiec i Włoch. W obu państwach istnieje nie uznająca opozycji dyktatura. Każde z nich posiada nadzwyczaj gęstą ludność, „ein Volk ohne Raum", nie znajdującą miejsca dla swej ekspansji ze względu na stosunkową szczupłość terytorium państwowego. Jeżeli jednak nawet pójdziemy dalej w dopatrywaniu się podobieństw pomiędzy oboma ustrojami i pominiemy np. różnice wynikające z odmiennego pojmowania władzy na północy i na południu osi Rzym-Berlin, to mimo wszystko nie da się zaprzeczyć, że z punktu widzenia ekonomicznego struktury współczesnych Włoch i Niemiec różnią się diametralnie. Niemcy są typem kraju przemysłowego, który tak pod względem terytorialnym jak i demograficznym nie znajduje w rolnictwie dostatecznych zasobów naturalnych. Włochy, przeciwnie, początkowo rozwijały się jako kraj rolniczy i jeszcze po wielkiej wojnie wschód kraju zachował swoją dawną zdolność aprowizacyjną niemal całkowicie. Ostatnie lata wykazują radykalną zmianę sytuacji. Brak własnych surowców mógł nie pozwalać Italii na podjęcie wysiłku przemysłowego, zakrojonego na wielką skalę, do chwili, kiedy zrodzenie się koncepcji gospodarki autarchicznej oraz wynalezienie metod wytwarzania surowców zastępczych dały jej możność produkowania równie dobrze jak Anglia, Niemcy czy Francja, oraz odrobienia zaległości, jakie Włochy miały w stosunku do tych mocarstw. Jeżeli idzie o zasadę gospodarowania Włochy poszły w kierunku kapitalizmu, który Mussolini, poparty przez znaczną część mieszczaństwa, uznał przynajmniej za pierwszy etap rozwoju gospodarczego kraju, etap wprawdzie przejściowy ale konieczny.

W przeciwieństwie do tego wojna światowa oddała Niemcy w ręce socjalizmu. Znikomy bilans realizacyjny okresu panowania socjal-demokratów da się wytłumaczyć jedynie ich słabą organizacją polityczną. Pewien odcień socjalistyczny pozostał jednak w dalszym ciągu: przejawia się już w samej nazwie partii hitlerowskiej, która, wyzyskawszy jako odskocznię klasy średnie w okresie poprzednim wywłaszczone i zrujnowane, zawsze starała się do swoich szeregów przyciągnąć masy robotnicze.

Ta zasadnicza różnica jest tylko pozornie przesłonięta przez wspólność formuły korporatywnej, którą obaj dyktatorowie zastosowali po pierwszych doświadczeniach, czynionych po omacku. Pozornie, bo dla tych, którzy umieją się doszukać pod słowem korporacjonizm odpowiedniej treści, odrazu ujawniają się zasadnicze różnice między tym, co określamy terminem „corporativisme", a tym, co oznacza „Stand".

We Włoszech organizacja korporacjonizmu opiera się na syndykaliźmie. Dwadzieścia dwie korporacje, odpowiadające wielkim gałęziom gospodarstwa narodowego, obejmują reprezentantów syndykatów patronackich i robotniczych; każdej z nich przewodniczy przedstawiciel rządu; kompetencja ich jest wszechstronna: rozciąga się na dziedzinę społeczną, gospodarczą i finansową.

W Niemczech, w ramach rolnictwa istnieje „Stand", tak zwany „Reichsnährstand", ale obejmuje on wyłącznie producentów przetworów rolnych oraz kupców handlujących produktami rolnymi, pomijając właściwych rolników. W ramach sektoru przemysłowego „Arbeitsfront" ma wprawdzie pretensje wcielenia w swe szeregi wszystkich elementów czynnych gospodarki przemysłowej: robotników, urzędników, siły techniczne i właścicieli. Jednakowoż w gruncie rzeczy sami tylko urzędnicy i robotnicy, w liczbie ponad 18 milionów, składają się na tę olbrzymią organizację. Właściciele nigdy nie zgłosili swego kolektywnego akcesu do „Arbeitsfrontu". Również trzeba było zrezygnować ze zorganizowania przemysłowców w t. zw. sekcje, odpowiadające poszczególnym dziedzinom produkcji. Jeżeli nawet dzisiaj sekcje te istnieją, to kompetencje ich są ograniczone do spraw ściśle techniczno-fachowych. Sprawy handlowe, a wszczególności sprawa określania kontyngentów sprzedaży oraz cen, pozostały zarezerwowane niezależnym kartelom, do których począwszy od roku 1935 dołączyło się kilka przymusowych zrzeszeń handlowo-przemysłowych. Jedyny kontakt, jaki istnieje między organizacjami patronackimi a robotniczymi, został nawiązany przez konwencję lipską w 1935 roku. Członkowie Państwowej Rady Ekonomicznej, najwyższej reprezentacji przemysłu niemieckiego, oraz członkowie Państwowej Izby Pracy, emanacji „Arbeitsfrontu", spotykają się periodycznie, aby rozstrząsać wspólnie zagadnienia socjalne w ramach t. zw. Rady Gospodarstwa i Pracy.

Już ta pobieżna ocena obu ustrojów wskazuje bezzasadność poglądu, chcącego widzieć w korporacjoniźmie wspólną cechą w strukturze obu państw. W Niemczech w zasadzie gospodarka podlega kierownictwu państwa; państwo jednakże pozostawia przedsiębiorcy całą działalność gospodarczą, nie uczestnicząc w niej w charakterze właściciela bądź współwłaściciela, pominąwszy wypadki wyjątkowe; państwo ogranicza się do kontrolowania tej działalności, sankcjonowania zysków; pełna odpowiedzialność za działalność gospodarczą spada na przemysłowca.

We Włoszech, inaczej, państwo ma swego przedstawiciela na czele każdej korporacji. Z tego tytułu nie tylko rozsądza spory pomiędzy pracodawcą i pracobiorcą, ale także przyjmuje bezpośrednią odpowiedzialność za prowadzenie przedsiębiorstwa i niejednokrotnie nie gardzi udziałem w finansowaniu przemysłu.

Jeżeli podobieństwo struktur nie daje podstawy dla szerokiej i intensywnej współpracy niemiecko-włoskiej, może stworzy ją ewentualne uzupełnianie się wzajemne obu krajów pod względem gospodarczym?

Rzesza niemiecka od czasu krachu finansowego w roku 1931 cierpi na brak dewiz w coraz to większym stopniu, zwłaszcza od roku 1934, kiedy masowy import metali i innych surowców potrzebnych na zbrojenia wyczerpał ostatnie rezerwy dewizowe. W dziedzinie wyżywienia Niemcy zawsze pozostaną zależne od zagranicy, jeśli idzie o tłuszcze, mięso, jarzyny, owoce, produkty kolonialne, a w okresach nieurodzaju nawet i pszenicę. W zakresie przemysłowym usiłują zdobyć samowystarczalność w dziedzinie materiałów pędnych, tekstylnych, kauczuku, oraz zmniejszyć import produktów mineralnych.

Włochy ze swej strony zawsze odczuwały znaczne trudności finansowe w zapewnieniu sobie surowców zagranicznych. Dopiero jednak sankcje, zastosowane w następstwie wojny abisyńskiej, pchnęły je w kierunku gospodarki autarchicznej. Ostatni zbiór zboża wyjątkowo deficytowy wykazał, że Italia—podobnie jak Niemcy—zależy w dużym stopniu od kaprysów natury w dziedzinie podstawowych środków żywności. W przeciwieństwie do tego przemysł bawełniany zapowiada triumfalnie, że w roku 1937 zużyje tylko 50% surowców zagranicznych wobec 80% zużytych poprzednio. Plantacje buraków zostały zintensyfikowane, aby móc zwiększyć wytwórczość spirytusu, mającego zastosowanie jako środek napędowy. Wszystkie te próby usamodzielnienia się nie znajdują jednak odbicia w globalnej sumie importu włoskiego, który po okresie pewnego spadku w latach 1935—36 począwszy od jesieni ubiegłego roku wykazuje bardzo silny wzrost.

Jak wyglądają dotychczasowe stosunki handlowe niemiecko-włoskie?

Na samym wstępie należy stwierdzić, że nie były one nigdy szczególnie intensywne. Import z Włoch stanowi dzisiaj zaledwie 5% całego importu niemieckiego wobec 4% w roku 1933. Włochy importowały z Niemiec w lutym b. r. 18% ogółu towarów przywożonych z zagranicy; w roku 1935 pozycja ta wynosiła 13,3%. Naczelne miejsce wśród produktów wywożonych przez Włochy do Niemiec zajmują bawełna, oleje mineralne, oraz wełna. Ze swej strony Rzesza wywiozła do Włoch w 1935 r. węgla za 69 milionów RM, produktów stalowych i maszyn za 70 milionów oraz produktów chemicznych za 27 milionów.

Przyszłość nie zapowiada się pomyślnie, jeżeli zważymy na oszczędności, jakich już dokonały Włochy w dziedzinie materiałów opałowych przez wyzyskanie sił wodnych, jako źródeł energii elektrycznej. Na 17.000 km sieci kolejowej dzisiaj 3.400 są zelektryfikowane, gdy w roku 1932 linii zelektryfikowanych było tylko 685 km. Niezależnie od tego Włochy eksploatują pokłady węgla brunatnego koło Triestu. Niedawno w San Giuseppe del Cairo wybudowano wielką koksownię o wydajności dziennej 1.500 ton. Wyniki tej akcji są aż nadto widoczne: na przestrzeni lat 1934—1936 ogólny tonaż importowanego węgla spadł z 12,7 milionów ton na 8,5 milionów (m. in. odczuła ten spadek Polska: eksport węgla polskiego do Włoch spadł w tym czasie z 1,7 miln. ton na 0,9). Co prawda stosowanie sankcyj było z pewną korzyścią dla Niemiec właśnie w dziedzinie eksportu węgla. Korzyści tej nie trzeba jednak wyolbrzymiać. W listopadzie 1936 r. Italia zawarła z Anglią traktat handlowy, w którym zobowiązała się kupować 500.000 ton kwartalnie w kopalniach angielskich. Fakt to tym charakterystyczniejszy, że w okresie sankcyj (lata 1935—6) eksport węgla angielskiego do Włoch spadł niesłychanie: z 3.100 tysięcy ton na 60 tysięcy.

W dziedzinie metalurgii sytuacja nie przedstawia się lepiej. Rzesza sama potrzebuje zbyt dużo żelaza, aby mogła odpowiednią jego ilość eksportować do Włoch. Produktem niemieckim, cieszącym się dużym zbytem na rynku włoskim, są maszyny. Natomiast postępy włoskiego przemysłu chemicznego znacznie zmniejszyły pole działania jednego z najpotężniejszych

przemysłów Rzeszy. Z drugiej strony towary eksportowe Włoch mają tylko drugorzędne znaczenie dla gospodarstwa Niemiec. Same importując zboże, Włochy wywożą do Niemiec ryż, owoce, jarzyny...

Jeżeli przeglądniemy bilans handlowy z ostatnich paru lat, stwierdzimy, że był on stale korzystny dla Rzeszy. Saldo wynosiło w milionach RM: 72 w 1931 r., 61 w 1933, 91 w 1935 i 32 w 1936. W jakim kierunku ma iść obopólna współpraca, kiedy Niemcy dążyć będą niewątpliwie do powiększenia korzystnego salda, a Włochy do jego zmniejszenia?

Jedyny teren współpracy o większym znaczeniu zdaje się otwierać w Etiopii. Uczeni i technicy niemieccy prowadzą poszukiwania za bogactwami, do których eksploatacji Rzesza ma zamiar pewnego dnia przystąpić. Już obecnie kapitał niemiecki zainteresował się spółką akcyjną Mineraria Africa Orientale Italiana (kap. zakł. 200.000.000). Niemcy zapewniają swój współudział w przedsięwzięciu pod postacią dostarczenia rąk do pracy i maszyn, czego ekwiwalentem ma być prawo do eksploatacji 25% wydobywanych bogactw mineralnych w Etiopii.

Zasadnicza jednak strona zagadnienia leży gdzieindziej — oba państwa potrzebują przede wszystkim pomocy finansowej. O braku dewiz, dokuczającym Włochom, a zwłaszcza Niemcom, dosyć już pisano. Pokrycie waluty we Włoszech uległo obniżeniu w stosunku do roku 1929 o przeszło 50%; w Niemczech prawie całkiem nie istnieje. Wojna abisyńska kosztowała według oficjalnych statystyk ponad 12 miliardów lirów. O wzajemnej pomocy nie ma więc mowy i w tej najważniejszej dziedzinie, a to tym bardziej, że zamknięty system gospodarki autarchicznej nie nadaje się do finansowania przedsięwzięć poza granicami państwa.

*

Wnioski nasuwają się same. Szumne zapowiedzi na wielką skalę zakrojonej współpracy gospodarczej Niemiec i Włoch nie kryją w sobie poważniejszej treści. Brak jakichkolwiek ważniejszych punktów zaczepienia. Blok dwu państw, t. zw. oś Rzym-Berlin okazuje się — w świetle przytoczonych cyfr i faktów — tworem par excellence i wyłącznie politycznym, aktualnym przymierzem dwóch kontrahentów, których los postawił w tej samej sytuacji politycznej — odosobnieniu: Włochy ze względu na dokonany zabór Abisynii, Niemcy z uwagi na głoszone rewindykacje kolonialne i przeprowadzane zbrojenia.

PRZEGLĄD PRASY

Upadek Francji?

Katowicka POLONIA (nr. 4539 z 6.6) zwraca uwagę na niewłaściwe metody, jakimi się posługuje nasza t. zw. prasa narodowa przy podawaniu oceny z sytuacji we Francji.

„Bezkrytyczny czytelnik naszych t. zw. pism narodowych różnych odcieni musi odnosić wrażenie, że Francja stacza się w przepaść i traci mocarstwowe stanowisko w świecie. Wszelkie uwagi i artykuły tych pism o obecnej polityce francuskiej ubolewają nad upadkiem Francji, nad rozdarciem wewnętrznym narodu francuskiego, nad rosnącą anarchią, ujawniającą się w niekończących się strajkach i walkach socjalnych, nad jej trudnościami finansowymi i socjalnymi..... Pismo te więcej lub mniej otwarcie dają do zrozumienia, że Francja, w której mógł powstać front ludowy, a żyd Blum może być premierem, przestaje być czynnikiem mocarstwowym, a sojusz z nią traci na wartości".

Pismo przypomina, że nasi t. zw. narodowi politycy i publicyści popełniają ten sam błąd, jaki popełnili Niemcy przed wojną światową, patrząc na Francję jako na kraj zdemoralizowany, podupadły, niezdolny do stawienia czoła cnotliwym, karnym i walecznym armiom cesarskim. Jak Niemcy na tym wyszli, pokazała nam wojna światowa.

„Niemcy — pisze dalej POLONIA — swój sąd o Francuzach opierali także na tym, co się wówczas działo we Francji, na walkach wewnętrznych, na trudnościach socjalnych, a przede wszystkim na nastrojach i deklamacjach antymilitarystycznych...

Wybuchła wojna i cała Francja powstała jak jeden mąż w swojej obronie. Wszyscy spełnili swój obowiązek i swym poświęceniem dla Ojczyzny i swą walecznością zadziwili cały świat i głównie przyczynili się do zwycięstwa Koalicji".

Przypominając powyższe, POLONIA kończy swoje uwagi następującym ostrzeżeniem:

„Takim był Francuz i takim jest i dzisiaj. O tym nie powinni zapominać ci, którzy wczoraj jeszcze byli najgorliwszymi frankofilami, a których dziś serce ciągnie więcej w stronę Mussoliniego i Hitlera, w których widzą twórców zbawczego ruchu narodowego ładu i karności, zaś we Francji tylko „folksfront" i „żydokomunę". W swych sądach o Francji mylą się tak, jak Niemcy przedwojenne, a co gorsza, poddają w wątpliwość wartość naturalnych więzów, łączących nas z Francją".

Demokracja i totalizm

W związku z podniesionym ostatnio w dyskusji publicznej zagadnieniem t. zw. nowej demokracji w Polsce, lwowski WIEK NOWY (nr 10.810 z 6.6) pisze, co następuje:

„W Polsce próby ustrojowe zdają się iść po linii szukania kompromisu. Mówi się o demokracji i równocześnie wprowadza się zasadę wodzostwa. Mówi się o parlamentaryzmie i pozbawia go znaczenia. Pragnie się rozpowszechnić i pogłębić poczucie odpowiedzialności obywateli za Państwo, ale równocześnie redukuje tę odpowiedzialność nawet w zakresie samorządu. Chciałoby się utrzymać nazwę, a zmienić treść. Marzy się o jakiejś „zreformowanej demokracji".

Tymczasem demokracji nie można zreformować. Albo się ją przyjmuje jako światopogląd ze wszystkimi konsekwencjami, albo odrzuca".

Wybór ten — zdaniem pisma — musi być dokonany i u nas.

„Ta konieczność uwidacznia się w miarę upływu czasu i trudności w budowie konsolidacji społecznej. Mobilizacja ludzi małych i płaszczących się jest łatwa. Podpiszą wszystko, nawet nie czytając. Ale już każda próba zjednania i wciągnięcia ludzi silniejszych i niezależnych zmusza do określenia swego stanowiska wobec demokracji. Bo tak się złożyło, że wartości niesprzedajne, że siły moralne utrzymały się u nas przeważnie tam, gdzie jeszcze powiewa sztandar demokracji i zachowała się wierność dla niego.

Ale jeśli ma się sięgnąć do tych rezerw, trzeba wiążąco i ostatecznie uznać, że demokracja nie jest wymysłem kominternu, że wolność obywatelska nie jest bolszewicką intrygą. Bo na jednym skrzydle tego samego obozu chwalić demokrację, a na drugim potępiać ją nie można, świadczy to albo o chaosie ideologicznym, albo o nieszczerości polityki wielkiego pojednania".

Podobne sformułowanie wyznaje również GONIEC WARSZAWSKI (nr 153 z 4.6), mimo, że reprezentuje on zupełnie odmienny światopogląd ideowo-polityczny.

„Formy totalistyczne — czytamy w tym piśmie — mają, z punktu widzenia obrony państwa, pozornie pociągające zalety. Już w czasie pokoju mobilizują one materialne i moralne siły narodu i wytwarzają stan pogotowia wojennego. Jednak w tej pokojowej organizacji sił narodowych, wytwarzanej przez ustroje totalistyczne, kryje się niedostrzegalna w czasie pokoju kardynalna wada. Jest nią stosunkowo mała odporność moralna obywateli państwa w wypadkach niepowodzeń wojennych".

Zgoła inaczej przedstawia się — zdaniem „G. W." — sprawa z ustrojami demokratycznymi.

„Ustroje demokratyczne, wychowujące obywateli w poczuciu odpowiedzialności za losy państwa, są znacznie odporniejsze. Łatwiej wytrzymują one ciosy z zewnątrz i wydobywają ze społeczeństwa, w chwilach groźnych niebezpieczeństw, nieoczekiwane wprost napięcie sił duchowych i materialnych".

Okupacja niemiecka w kościołach ewangelickich

Przed anormalnym stanem rzeczy w kościołach ewangelickich w Polsce, gdzie Niemcy rządzą się jak szare gęsi, ostrzegano już od dawna. Nic się jednak w tej dziedzinie nie zmieniło, mimo że sytuacja staje się coraz poważniejsza i coraz większe budzi zaniepokojenie w społeczeństwie polskim.

ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY (nr 153 z 4.6), podnosi alarm z powodu stosunków, jakie panują w kościele ewangelickim — m. in. na Śląsku, stanowiącym po dziś dzień jeszcze czynnik, którego zadania germanizatorskie zostały ob. określone przez królów pruskich.

„W 20 parafiach rządzi i przewodzi 30 pastorów, aktywnych Niemców, a wśród nich 17 obywateli niemieckich i jeden austriacki. Ignorując wspólnotę wyznaniową z Kościołem ewangelicko - augsburskim w Warszawie, oraz zasłaniając się odrębnością fikcyjnego wyznania unijnego, władze ewangelicko-unijnego kościoła na G. Śląsku ani myślą dopuszczać Polaków na stanowiska pastorów, mając na uwadze tylko teologów z Niemiec".

Doszło do tego, że w 1933 r. synod krajowy tego Kościoła zabronił przyjmować na członków ewangelicko-unijnych parafii ewangelików z poza G. Śląska, a uchwałę tę powziął nawet wbrew postanowieniom pruskiej (!) ustawy, do której w innych wypadkach się stosuje. Potrzebne było dopiero energiczne wystąpienie woj. Grażyńskiego, który zawiesił tę niesamowitą uchwałę synodu, by w roku ubiegłym przyjętych zostało do tych parafii 1.000 ewangelików - Polaków z poza Górnego Śląska.

„Jak bezceremonialna i drastyczna — pisze tu I. K. C. — była wspomniana uchwała synodu, mająca na celu utrącenie wpływów patriotycznie usposobionych Polaków - ewangelików, najlepiej świadczy fakt, że ten sam synod przyjmował i przyjmuje z otwartymi rękami nie tylko wyznawców, ale nawet pastorów z innych dzielnic, np. z poręki superintendenta Zocklera — chodzi bowiem tylko o to, by nowo przyjęty wyznawca, czy też pastor był wypróbowanym i godnym zaufania Niemcem!".

Pismo stwierdza w ostatecznej konkluzji, że:

„jest prawem polskiego honoru, by to bałamuctwo pastorów niemieckich i okupacja duszy polskiej skończyła się jak najprędzej!".

Należy sądzić, że kompetentne czynniki państwowe wkroczą jak najrychlej w to, co się w kościele ewangelicko-unijnym dzieje, i zrobią w nim ostateczny porządek.

Historyczna rozmowa

POLSKA ZBROJNA (nr 130) przynosi w relacji gen. Wieniawy - Długoszowskiego ciekawą i naogół mało znaną rozmowę, która w początkach 1917 r. odbyła się między Komendantem Piłsudskim a general-gubernatorem von Beselerem, a w której v. Beseler usiłował zjednać sobie Komendanta Piłsudskiego na rzecz współpracy jego z Niemcami. Historyczna ta niewątpliwie rozmowa miała przebieg następujący:

„— W czasie wojny — mówi v. Beseler — jedynie siła materialna się liczy. Tylko stworzenie takiej siły może zagwarantować przyszłość Polski... Stworzenie armii polskiej zmusi świat, a w pierwszym rzędzie Niemcy, do szanowania polskich aspiracyj...

— Nie zna Pan Polaków, Ekscelencjo — odpowiada twórca Legionów — to naród bardzo antymilitarystyczny... Polska nigdy nie zgodzi się na oficerów i dowódców niemieckich w armii polskiej. Taką rzecz można robić łagodnie, stopniowo, bez brutalności. Trzeba najpierw zespolić kadry armii pol-

skiej, a potem dopiero tworzyć armię, batalion po batalionie, pułk po pułku...

Piłsudski protestuje przeciwko gwałtom okupacji, bezlitosnym rekwizycjom, przeciwko bezprawnemu wywiezieniu 700 tysięcy robotników polskich wgłąb Niemiec:

— Czy sądzi Pan, Ekscelencjo, że naród da się oszukać frazesem lub obietnicą? Czy myśli Pan, że jeżeli nalepicie orła polskiego na każdy palec ręki, która nas dławi — to przez to Polacy zaczną uważać morderczy uścisk tej ręki za wyraz miłości i przyjaźni...

V. Beseler zrywa się, staje przed brygadierem Piłsudskim czerwony z uniesienia.

— Herr v. Piłsudski—krzyczy— krótko i węzłowato. W tym wielkim historycznym momencie Polsce potrzeba wielkich ludzi. Pan jest jedynym, jakiego znam, jakiego odkryłem. Niech Pan pójdzie z nami. Damy Panu wszystko: siłę, władzę, sławę, pieniądze. Pan zaś odda olbrzymią przysługę swojej ojczyźnie...

Piłsudski słucha, bębniąc palcami po stole:

— Pan mnie nie rozumie, Ekscelencjo — odpowiada spokojnie — Pan nie chce mnie zrozumieć... Gdybym przyjął Pańską propozycję, wy, Niemcy, pozyskalibyście jednego człowieka, ja zaś straciłbym cały naród...

Beseler, zniechęcony, rozkłada ręce".

Hitleryzm po endecku

„DZIENNIK WILEŃSKI" (nr 152 z 5.6), omawiając rozgrywkę między hitleryzmem a katolicyzmem, dochodzi do słusznego wniosku, że:

„postawa antykatolicka obozu hitlerowskiego nie jest ani przelotnym prądem politycznym, wynikającym z dających się z czasem załagodzić nieporozumień na tle polityki wewnętrznej (szkolnej i t. p.) i zewnętrznej, ani chwilową ekstrawagancją doktrynalną młodego ruchu, który nie skrystalizował jeszcze ostatecznie swego światopoglądu, lecz że jest trwałą właściwością i cechą nie tylko rządzącego dziś w Niemczech obozu politycznego, ale i ideologii"

Pismo (stanowiące odbitkę endeckiego „Warszawskiego Dziennika Narodowego") nie chce jednak z takiego stanu rzeczy wyciągnąć odpowiednich dla siebie wniosków politycznych. Pod względem politycznym — powiada ono — jest wszystko w porządku.

„Jeśli pominąć konflikty i przeciwieństwa, wynikające z przyczyn geograficznych, ze sprzeczności politycznych i ekonomicznych interesów i t. d. — świat dzieli się dziś na dwa bloki polityczne — ideologiczne: czerwony i biały. Niemcy hitlerowskie należą, w dziedzinie polityki, do bloku białego, walcząc politycznie z komunizmem i z masonerią".

WŚRÓD KSIĄŻEK

Śladami żywota człowieka niestrudzonego

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie ukazały się 3 tomy wspomnień: **„Od kolebki przez życie"**, których autorem jest Teodor Tomasz Jeż, Zygmunt Miłkowski. Drukowane fragmentami w Kłosach i inn. w latach osiemdziesiątych pamiętniki te po raz pierwszy ukazują się w całości, starannie przygotowane przez Adama Lewaka, który na wstępie uwypuklił idee polityczne T. T. Jeża i zasięg jego prac. W przedmowie prof. Aleksander Brückner nakreślił sylwetkę tego Polaka - reublikanina - demokraty, co sam tak siebie scharakteryzował: „Ścigałem marę, która mi się marą nie wydawała i nie wydaje. Byłem siewaczem. Wichry wywiewały z gruntu, rzucane przeze mnie ziarna ale — nie wszystkie. Przekonanie głębokie powiada mi, że ziarn tych w gruncie pozostała ilość spora, — dostateczna do wydania plonów w przyszłości, a to dlatego, że w teraźniejszości są tych plonów zadatki. My cele wytykamy, lecz do wytkniętych podążając, nie dochodzimy do nich rzutem jednym. To trudno. Dowlekamy się na etapy pośrednie znękani i pokrwawieni, pomawiani przez jednych o nieoględność, przez innych o zbrodniczość nawet. Gdyby jednak takich, jak ja, nieoględnych i zbrodniarzy nie było, chłop w Polsce do dnia dzisiejszego pańszczyznę by odrabiał i w poddaństwie pozostawał. Należałem do tego rodzaju ludzi, co w społeczeństwach pełnią funkcję drożdży fermentacyjnych, niezbędnych do przeistaczania się społeczeństw na drodze rozwoju postępowego..."

Miłkowski nie był gospodarzem typu Paska, który osobliwe przygody bujnego życia pragnie utrwalić dla rodziny i przyjaciół. Tak„ jak mnogie jego powieści, do których osnowy niemało wątku mu dostarczyły własne bogate przeżycia, dziś mniej poczytne, acz znaleźć je można w wielu bibliotekach, w swoim czasie budziły sumienie narodowe i służyły idei demokracji i postępu, tak i te wspomnienia pozwalają śledzić nie tylko ofiarną drogę jednostki oddanej sprawie, ale zawierają też świadomie i rzetelnie uchwycone tło obyczajowe, społeczne i polityczne od życia polskiego na dalekich uwrociach Rzeczypospolitej po tworzenie się państw bałkańskich i politykę zagraniczną Rządu Narodowego w latach 1863/64.

Uderza u Miłkowskiego wielkie zrozumienie i przywiązanie do tradycji. Z upodobaniem powieściopisarza kreśli sylwetkę dziada, który ze szkół uciekł, bo książki go mierziły, pannę, której ręki mu odmówiono, porwał, w latach 1792—93 pod Szepetówką walczył a w odwrocie wiózł w taborach żonę i troje dzieci.

Z głębokim synowskim przywiązaniem pisze o swych rodzicach, zwłaszcza o ojcu. Postać to wybitna: żołnierz napoleoński przez krew i blizny doszedł do oficerskiej szarży, w r. 1831 z dalekiego Pobereża do powstania przymknął, dzierżawami chodząc, przez Potockiego Szczęsnowicza zrujnowany, pracował sam ciężko i cudzy trud szanował, w chłopach widział ludzi, którym starał się być przykładem, w dzieciach gruntował zasady najszczytniejszego demokratyzmu i wpajał im przekonanie, że szlachcicem jest nie ten, co się z herbowych rodzi, ale kto szlachetnie postępuje.

Takie zadatki zaczerpnąwszy w rodzinnym domu, już w gimnazjum w Niemirowie młody Zygmunt zakłada wśród współuczni związek tajny, jako student, myślący o naukowej karierze matematycznej, opracowuje memoriał o zniesieniu pańszczyzny, zagrożony aresztowaniem, jako jeden z przywódców młodzieży, ucieka z Kijowa — prosto do węgierskiego powstania. W butach bez podeszew maszeruje od bitwy do bitwy, zdobywając, jak ongiś ojciec, godności kolejno podoficerskie, do Turcji przechodzi jako oficer i, niebardzo wiedząc co z sobą robić, emigruje z innymi do Anglii.

Omal że nie umarł z głodu nad Tamizą, uratowały go zdolności rysunkowe i — komponowanie wzorów na tapety.

Centralizacja T-wa Demokratycznego, okrzepłszy nieco po dramatycznych przejściach i przystępując do powiązania zerwanych przez r. 1848 działań, uznała Miłkowskiego za zdatnego do emisarki na Bałkanach. Rychło zadomowił się tam T. T. Jeż. W czasie wojny wschodniej wyrobił sobie imię gruntownym opisem „Udziału Polaków". W czasie tych działań obudził nienawiść w obozie arystokracji, której nie szczędził gorzkich, a trafnych ocen. Odniósł też pierwsze sukcesy literackie w Dzienniku Literackim, redagowanym przez Dobrzańskiego we Lwowie, a honoraria (nb. wcale wysokie) z Gazety Warszawskiej stanowiły podstawę jego budżetu domowego.

Charakterystyczne światło na stosunki ówczesne rzuca służba brata Miłkowskiego w wojsku rosyjskim. Dla młodego chłopca o bujnym temperamencie była to jedyna droga „kariery". Skończyła się dlań tragicznie: sądem polowym i rozstrzelaniem, gdy zapragnął współpracować na Bałkanach i zjechał się z bratem nad Dunajem.

Był to wielki cios dla Zygmunta Miłkowskiego, niezmiernie przywiązanego do rodziny. Jakiż głęboki podziw i szacunek czujemy dla człowieka, który pełen gorących uczuć dla młodziutkiej żony i powiększającej się dzieciarni, przecież jest zawsze gotów na wezwanie Polski i natychmiast dąży tam, gdzie ona go potrzebuje. Przeżywa w pełni prawdę słów Mickiewiczowskich, że brak szczęścia w domu, gdy go niema w ojczyźnie.

Niezmiernie cennym dokumentem są wspomnienia T. T. Jeża, odnoszące się do okresu powstania styczniowego: na władzę powstańczą patrzał tak, jak w wiele lat potem Marszałek Piłsudski. Wezwany do Warszawy przez Komitet, który później stał się Rządem Narodowym, omówił Jeż osobiście sprawę transportowania broni przez Stambuł i Jassy i objęcia organizacją południowo - wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Jak i inni ludzie z terenu żądał przesunięcia terminu powstania i ucieszyła go odpowiedź Komitetu, że został wyznaczony na maja. Wiadomość o styczniowym wybuchu przyjął jako cios, niweczący wszelkie nadzieje. Przecież w pracy nie ustawał. Prawie nieznane były dotąd dzieje batalionu, który pod dowództwem Miłkowskiego maszerował zza Dunaju do Polski i napadnięty przez Rumunów — po zwycięskiej potyczce pod Kostangalią, pod Ryzensztach musiał wobec przemocy broń złożyć.

Obarczony przez Rząd Narodowy poleceniami czyni Miłkowski zabiegi w Bukareszcie, Stambule, jedzie do Paryża, ma być wysłany do Skandynawii i znów wraca do Serbii, gdzie przebywa do r. 1866.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą patrzeć ze znacznego już dystansu na wypadki oglądane oczyma uczestnika, widzieć dziesiątki postaci, które mniej lub więcej wybitną odgrywały rolę. Miłkowski pisze ciekawie, unika dłużyzn, jest sprawiedliwy i biektywny w ocenie. Uderzająco surowo sądzi Mierosławskiego i Hercena.

Dla badacza wpływów literatury na życie społeczne ciekawe jest podejście Miłkowskiego do Mickiewicza i jego działalności, której zupełnie nie rozumie.

Na pobycie w Lozannie (1873 r.) urywają się wspomnienia. Próżno byłoby żałować, że nie ukończył ich, a przynajmniej nie przekazał nam relacji, o podjętych na nowo politycznych pracach w latach osiemdziesiątych.

Cieszyć się jedynie należy, że Polska Akademia Umiejętności udostępniła nam ten ciekawy dokument epoki i żywić nadzieję, że znajdzie on wielu czytelników, którym w dzisiejszej dobie egoizmu i zbytnich uproszczeń żywot człowieka niestrudzonego może niejedną nasunie refleksję.

Z. D. K.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem